

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



WŁADYSŁAW ZAHORSKI

**PODANIA I LEGENDY
WILEŃSKIE**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Bazyliszek

Wśród odwiecznych borów nad brzegami pięknej Neris (Wili) i wartkiej Wilny (Wilunki) kryła się niewielka osada. Ubodzy jej mieszkańcy mieli bardzo skromne wymagania, ponieważ nigdy daleko od swej siedziby nie oddalali się i czasem tylko od kapłana, albo od zbłąkanego podróżnego zasłyszeli, iż są kraje, w których i przyroda jest inna i ludzie żyją inaczej i dostatniej. Niemało dziwów opowiadali przechodnie prostodusznym osadnikom, którzy takowe opowiadania za bajki poczytywali. Nie nęciły ich tedy obce kraje. Kochali swoją cudną Neris, jej czyste, błękitne wody, łąki zielone, pagórki i gęste lasy, które rozbrzmiewały śpiewem niezliczonego ptactwa. Poważny niedźwiedź miał tu legowisko, potężny tur szukał w cieniu wiekowych dębów schronienia, a lekkie sarny przebiegały puszcę w rozmaitych kierunkach. Lasy dostarczały osadnikom grzybów, jagód, zwierza i skór, pszczoły miodu, a rzeka ryb pod dostatkiem. Z krzemienia, obłupawszy i wygładziwszy go, robili broń i narzędzia, chociaż nie misterne, niemniej jednak pożyteczne. Mając niewielkie potrzeby, z łatwością na miejscu zaspokajane, czuli się osadnicy szczęśliwymi w swych chatkach ubogich, dziękowali bogom za dobrodziejstwa, jakimi ich obdarzali i przez wdzięczność wnosili ołtarze, palili ogień i składali ofiary.

Wszystko tu było proste, i życie, i miłość, i śmierć sama. Zdarzało się, iż silny i barczysty osadnik, wyszedłszy na łowy, już do swej zagrody nie wracał, znajdował bowiem śmierć w uścisku niedźwiedzia lub na rogach tura. Niejeden spoczął na piaszczystym dnie rzeki, lub został przygnieciony olbrzymim drzewem. Były to wypadki powszednie i nieuniknione.

Ale snadź prostoduszni osadnicy znad Neris obrazili bogów i ich zemstę na siebie ściągnęli. Może nie dopilnowali ognia świętego i ten zagasł, albo za mało słońiny i innych ofiar na ołtarzach złożyli, a może dziewica nie dochowała ślubowanej czystości, dość, że rozgniewani bogowie okropną zesłali karę.

Oto na wzgórzu w pieczarze zamieszkał od niedawna straszny potwór bazyliszek, o którym nikt powiedzieć nie mógł, jak wyglądał, ponieważ każdego, co się do pieczary zbliżyć próbował, zabijał wejrzeniem i pożerał. Wśród ciemnej nocy z dala migotały u wejścia do jaskini dwa zielonkawe światelka. To bazyliszek z legowiska wypełzał i ofiary wyglądał. Biada nieostrożnemu myśliwemu, który, goniąc zwierzynę, zapędził się ku wzgórzu, biada dziewczycy i dziecku, szukającym tu kraśnych jagód i kwiecica... Spotkawszy się ze wzrokiem potwora człowiek drętwiał i padał, jakby rażony piorunem. Wtedy bazyliszek pożerał ofiarę. Nie gardził zgrzybiałym starcem, ani niemowlęciem, ale przede wszystkim czyhał na dziewice. Już wiele rodzin oplakiwało ojców, wielu młodzieńców utraciło swe ukochane, wiele matek zawodziło po stracie dzieci, a potwór wciąż nowe porywał ofiary. Błagano bogów, palono liczne ofiary, zakopano żywcem do ziemi jedną z dziewic. Nic nie skutkowało. Toteż smutek zawisł nad szczęśliwą dotąd osadą. Na polance pod rozłożystym dębem zebrali się na radę

sędziwi kapłani i starszyzna. Przemyślano nad sposobami zgładzenia straszego wroga. Jedni doradzali zbudować z kłód olbrzymich wysoką ścianę, która by osadę od wzgórza odzieliła, inni byli za wzniesieniem pożaru w zaroślach koło jaskini... Słowem każdy występował z projektem, ale wszystkich najpiękniejszych planów trzeba było się wyrzec wobec niemożności zbliżenia się do bazyliuszka. Naradom przysłuchiwał się młody osadnik. Silnie zbudowany, o długich, jasnych włosach, spadających na ramiona, o złocistym puszkę, który zdobił mu wargę i śniade, żywym rumieńcem okraszone policzki, o oczach dziwnie głębokich, był on uosobieniem męskiej siły i piękności. Dziewczęta czułym spojrzeniem goniły za nim, gdy zwinny i lekki uganiał się za zwierzem, albo silnym ramieniem sieć ryb pełną z wody ciągnął. Niejedna kochała go skrycie i pragnęłaby z nim losy podzielić. Były i takie, co się udawały po kryjomu do czarownicy miłosnej, prosząc, aby natchnęła pięknego młodziana miłością, ale ten pozostawał obojętny na wdzięki i uśmiechy wdzięcznych dziewczyc, od kilku bowiem miesięcy ukochał Jagnę, uroczą i świeżą jak nimfa rzeczna. Jagna płaciła mu wzajemnością i nieraz, siedząc nad brzegiem rzeki, skapani w świetle księżyca i zasluchani w treściach słowika, marzyli o radosnej przyszłości. Młodzieniec rozpoczął budowę nowej chaty, która miała być znacznie od innych okazalszą i nawet posiadała okno z naciągniętym na ramie pęcherzem, tak że w izbie było jasno. Nie żałował pracy, by nagromadzić jak najwięcej skór niedźwiedzi, wilczych i rysich. Wraz po wykończeniu budowy mieli się pobrać.

W tym właśnie czasie zamieszkał w jaskini na wzgórzu bazyliuszek i gdy zrozpaczona ludność już nikąd nie spodziewała się pomocy, młody osadnik powziął zuchwałą myśl zgładzenia potwora. Rozumiał dobrze na jak straszne niebezpieczeństwo się naraża, ale dodawało mu odwagi przekonanie, że zabijając bazyliuszka, ratuje swą Jagnę, którą czekał los innych dziewczyc przez niego pożartych. Rozważny i w walkach ze zwierzem do ostrożności nawykły, długo przemyślał, w jaki sposób podejść wroga, nie będąc przez niego widzianym. Złożył bogom bogatą ofiarę, długo i gorliwie się modlił, aż w końcu ułożył plan postępowania.

Słyszał nieraz od przechodniów, iż w sąsiednich krajach ludzie posiadają płyty metalowe tak wyszlifowane, że odbijają w sobie wszelki przedmiot, ku któremu zostaną zwrócone. Człowiek widzi w takiej tafli odbicie swej twarzy wyraźniej, niż w stojącej wodzie. Postanowił za wszelką cenę nabyć podobną blachę, którą podróżni zwali zwierciadłem. Pożegnał płaczącą Jagnę i niebawem udał się w drogę. Uciążliwa i pełna niebezpieczeństw była jego podróż przez puszcze i moczary. Doznawał głodu i strachu, gdy duchy leśne otaczały go nocami, a nimfy jeziorne i błotne wabiły go ku sobie. Niejedną noc spędził bez snu na drzewie, by nie stać się łupem dzikiego zwierza. Nieraz padał ze znużenia, zwłaszcza, że dźwigał na sobie sporo skór bobrowych, lisich i innych, by za nie nabyć zwierciadło. Zwyciężył jednak wszystkie przeszkody i wrócił do osady ze zdobytym skarbem.

Nikomui nie zwierzył się ze swym zamiarem, nikomu zwierciadła nie pokazał. Tylko Jagna była we wszystko wtajemniczona i chociaż trwożyła się o ukochanego, nie próbowała go jednak powstrzymać. Przysięgła tylko, że jeśli jej luby zginie, ona również uda się do jaskini i odda się bazyliuszce na pożarcie.

Nadszedł wreszcie dzień, przeznaczony na spełnienie zamiaru. Ledwie jutrzienka zaróżowiła brzeg nieba, mężny młodzieniec udał się ze zwierciadłem ku wzgórzu. Droga od rzeczki Wilny wiodła wciąż ku górze, porośnięta krzewami i usypana głazami. Niebawem poczuł swąd siarki i zgnilizny, aż oto potknął się o jakiś przedmiot okrągły, który mu spod stóp się potoczył. Była to zbielała od słońca i deszczów czaszka ludzka. Zrozumiał, iż jest bliskim

celu, zdwoił tedy uwagę i raz jeszcze rozważywszy plan postępowania, śmiało postąpił naprzód, starając się nie sprawiać hałasu i ukrywając się za krzewami i głazami. W ten sposób, choć wolno, ale stale, zbliżał się ku jaskini. Śwąd siarki i ciał gnijących stawał się coraz bardziej nieznośnym, zaś w zaroślach i pomiędzy kamieniami coraz więcej walało się kości nawet z kawałami mięsa.

Wtem młodzian postłyszał dziwny dźwięk, podobny do szumu wody kotłującej. Stał i wyjrzał zza głazu, a to, co ujrzał, było tak okropne, że omal nie krzyknął i zwierciadła nie upuścił. U ciemnego wejścia do pieczary leżał olbrzymi potwór z głową jak u ropuchy, z paszczą szeroką, z której kły zakrzywione wystawały. Brudnozielonawym cielskiem przypominał potwornej wielkości jaszczurkę. Tylna część ciała leżącego na brzuchu bazyliuszka ginęła w mroku jaskini, zaś pod wyciągniętymi naprzód potwornymi łapami leżało okrwawione i straszliwie poszarpane ciało młodej dziewczyny. Tylko głowa pozostała nieuszkodzoną, a twarz z szeroko rozwartymi żrenicami zachowała wyraz śmiertelnej trwogi i przerażenia.

Potwór spał, grube nabrzmiące powieki przykrywały jego wyłupiaste oczy. Nozdrza rozdymały się i z głośnym chrapaniem wyrzucały kłęby pary i smrodliwego dymu, które zarażały powietrze.

Bazyliuszek widocznie poczuł obecność żywej istoty, drgnął bowiem, przeciągnął się i podniósł powieki, spod których błysnęły straszliwe ślepia.

Odważny młodzieniec czekał na tę chwilę i niosąc przed sobą zwierciadło, szybko zza głazu wystąpił. Potwór przez chwilę pozostał nieruchomy ze zdumienia, wnet jednak szybkim ruchem wysunął się z pieczary i wsparłszy się na łapach utkwiał wzrok w zwierciadle. W tejże chwili wydał ryk straszliwy, wyprężył się i uczyniwszy skok w powietrze, całym cielskiem olbrzymim runął na ziemię. Z szeroko rozwartej paszczy strumieniem buchnęła czarna, cuchnąca posoka. Po chwili już nie żył. Zabił się własnym wzrokiem, który się od zwierciadła odbił.

W tej właśnie chwili słońce jasne, jakby rosą poranną obmyte, wyjrzało zza lasu i rzuciło miliony blasków i snopy promieni na niebo i ziemię.

Młodzieniec pochwycił róg, zwieszający się mu przez ramię na rzemieniu i w czystym powietrzu rannym zabrzmiała pieśń radosna, pieśń triumfu. Grał coraz namiętniej, coraz głośniej, a metaliczne dźwięki biły w niebo i płynęły w przestrzeń, aż dosięgły osady, budząc uśpionych mieszkańców. Wybiegli z chat i zagród, rozumiejąc, iż stało się coś niezwykłego. Ujrzeni Jagnę, pędzącą lotem ptaka ku wzgórzom, gdzie bazyliuszek na swe ofiary czyhał. Rzuciła słów kilka i cały tłum w ślad za nią pomknął.

Upłynęło chwil kilka i tenże tłum wracał ku osadzie, niosąc na barkach dzielnego zbawcę wśród radosnych okrzyków i sławiąc jego poświęcenie, męstwo i roztropność.

Na wzgórzach w pobliżu jaskini wzniesiono z kamienia basztę czworokątną, od której samo wzgórze nazwę Bakszty otrzymało.

Narbutt w *Pomniejszych pismach historycznych* podaje inną odmianę podania o bazyliuszku, wyjętą ze starego rękopisu pt. *Descriptio historica brevis civitatis vilnensis*: „Dziwne, a trudne do uwierzenia opowiadają rzeczy o podziemiach pod górą Bakszty Subockiej. W jakowym podziemiu jakoby czarownicy, czarownice i djabli subotki swoje zwykły wyprawować, od czego i Bakszta Subocką się nazywa. Są nawet wiadomości, że w podziemiu takowym Bazyliuszki się były zagnieżdżyły, które zstępujących tam ludzi spójrzeniem zabijały na miejscu. Po odkryciu owej śmiercionośnej otchłani i nieszczęśliwych doświadczeniach, posłano razu

jednego człowieka odważnego, a był to zbójca, wskazany sądownie na karę śmierci. Temu na plecach zawieszono zwierciadło i dano w obie ręce pochodnie gorejące. Idący zawsze tyłem zbliżył się w końcu do miejsca, gdzie był Bazyliszek, który sam siebie w zwierciadle oko w oko ujrzawszy, zawył okropnie i zdechł.”

O ŚWIĄTYNI PERKUNASA

Gdy Krzyżacy, korzystając z zamieszania, jakie na Litwie po śmierci Mendoga zapanało, po dwakroć zniszczyli święte Romowe¹ nad Dubisą i Niewiażą, wtedy wielki książę Świntorog przeniósł Romowe do puszczy nad ujściem Wilenki do Wilii. Miejsce to księciu było znane jeszcze z czasów młodości, gdy się bawił łowami. Jakoż stanęła tu skromna i uboga gontyna bez dachu, a w niej przed posągiem groźnego Perkunasa, który z Połagi przywieziony został, rozniecono wiecznie gorejący ogień święty, strzeżony od zagaśnięcia przez ofiarników – wajdelotów i dziewice święte, wajdelotki. Za świątynią książę wyznaczył zgliszcze, czyli miejsce na całopalenie zwłok książęcych i sam tu po śmierci był przez syna Germonda spalony.

Przed wejściem do świątyni Świntorog wybudował niewysoką basztę okrągłą, z której kapłani Kriwe ogłaszali ludowi wolę bogów oraz śledzili bieg słońca i gwiazd.

Litwini pogańscy byli przesądni, wierzyli we wróżby i nie rozpoczynali żadnego dzieła bez naradzenia się z wróżbitami, wrózkami, czarnoksiężnikami i wyroczniami, których mnogość była na Litwie i Żmudzi. Jedni, zwani Puttones wróżyli z piany wodnej; inni z dymu, z soli, z wosku, z lotu ptaków, ze zjawisk powietrznych.

Świntorog, starzec dziewięćdziesięciosześcioletni, nabożny i wierzący w gusła i wieszczby, pragnął przed rozpoczęciem budowy świątyni zasięgnąć rady wieszczki.

Wiedział książę o Burinime, znakomitej wyroczni, mieszkającej na Żmudzi nad dolnym Niemnem. Do tej to Sybilli żmudzkiej Świntorog wysłał sześciu poważnych starców z darami bogatymi, prosząc, by zechciała odkryć, jakie będą losy przyszłej świątyni.

Mądra wieszczka, po wykonaniu rozmaitych guseł, obiecała świątyni trwanie tak długie, jak długo pogaństwo samo trwać będzie. Wyrocznia kazała sporządzić i odwieźć księciu Świntorogowi 122 sztuki cegły okrągłej, z wrytymi na nich znakami hieroglificznymi, które miały oznaczać dobre i nieszczęśliwe lata. Na ostatniej cegle był znak krzyża podwójnego #. Miało to być przepowiednią, że gdy nadejdzie kolej tego znaku, chrześcijanie obrządków zachodniego i wschodniego zburzą pogaństwo i świątynię. Książę kazał wmurować te cegły w ścianę baszty od strony południa.

Proroctwo wieszczki spełniło się, albowiem po 122 latach Jagiełło ochrzcił Litwę, zburzył świątynię Perkunasa, a na jej fundamentach wznosił kościół katedralny. Znak podwójnego krzyża wryty na ostatniej cegle król kazał umieścić na tarczy jeźdźca Pogoni, jako świadectwo zwycięstwa, odniesionego przez chrześcijaństwo nad pogaństwem.

¹ Romowe lub Romnowa to tradycyjne miejsce kultu starożytnych Bałtów, gdzie przebywał kapłan kapłanów (Kriwe-Kriwejte). Leleweł, na którym opierał się Zahorski, uważał istnienie Romnowy, równoważnej Rzymowi (Romahora), za pewnik historyczny. We współczesnej nauce historycznej uznane za legendę, w krórej tkwi jednak źdźbło prawdy (przypis wydawcy).

LIZDEJKO

Kriwe-Kriwejte, arcykapłan przy świątyni Perkunasa w dolinie Świntoroga utracił młodą żonę. Nie pomogły liczne ofiary, spalone na ołtarzach bogów, nie uratowały chorej zaklania kapłanów, ani podawany w napoju popiół z ołtarza wiecznego ognia. W kwiecie wieku zgasła małżonka arcykapłana. Kriwe-Kriwejte popadł w zadumę, stronił od ludzi, z którymi obcowanie było mu przykre i szukał samotności. W tym celu po nabożeństwie w świątyni sam bez towarzyszków odbywał dalekie wycieczki, siadał do czółna i płynął z biegiem Wilii, albo pieszo zapuszczał się w lasy okoliczne i nieraz zadumany milę i więcej uszedł. Przyroda koiła ból i zablizniała świeżą ranę. Nie dziw, że troska osiadła chmurą na wyniosłym czole wielkiego kapłana, nie dziw, że na skroniach i w czarnej wypieszczonej brodzie zjawiły się srebrne nitki. Według prawa arcykapłan nie mógł pojąć drugiej żony, a Kriwe-Kriwejte był jeszcze w sile wieku, serce miał gorące i pragnął miłości kobiety i pieśczęt dziecka. Musiał się tych rozkoszy na zawsze wyrzec.

Podczas jednej z wycieczek w stronę dzisiejszych Werek, gdy szedł zadumany, usłyszał w bliskości śpiew. Nieznacznie zbliżył się ku miejscu, skąd go dźwięki dochodziły. Na niewielkiej polance w cieniu bujnego krzewu siedziało nad strumykiem urocze dziewczę. Młoda Litwinka opuściła do wody bose drobne stopy, zaś białe jej ręce z różowymi paluszkami zajęte były pleceniem wianka z róż polnych, konwalii i bławatków, które pokrywały jej kolana i rozsypane na murawie tworzyły u stóp dziewczyny barwny kobierzec. Oddana robocie, urozmaicała ją sobie śpiewem. Głos jej niski, piersiowy, był bardzo dźwięczny. Od czasu do czasu przerywała śpiew i sięgała do stojącej obok kobiałki, po brzegi malin pełnej.

Arcykapłan długo wpatrywał się w to cudne zjawisko, aż wreszcie nie mógł się dłużej opierać pokusie, która go ku dziewczęciu pociągała i opuściwszy kryjówkę, zbliżył się do nieznamomej. Dziewczyna zrazu strwożyła się nagłym zjawieniem się obcego mężczyzny, ale wnet się uspokoiła, poznavszy w przybyłym wielkiego kapłana, którego wespół z całym ludem czciła, a poczytując prawie za półboga, nieco się obawiała, ale i serdecznie żałowała, gdyż wiedziała o bolesnej stracie, jaką poniósł. Toteż powstawszy z miejsca, złożyła mu głęboki, pełen czci ukłon. Arcykapłan pogłaskał jasne włosy dziewczęcia, rozkazał jej usiąść i sam usiadłszy obok na murawie, jął rozpytywać, kim jest, skąd pochodzi i gdzie są jej rodzice? Dziewczyna odpowiadała zrazu nieco strwożona, lecz ośmielona dobrocią oraz miłym i łagodnym obejściem towarzysza, nabrała odwagi i z dziecięcą szczerością, nic nie tając, opowiedziała mu dzieje niedługiego swego życia. Liczyła 18 wiosen, była sierotą, matki nie pamiętała, a ojciec przed kilku laty, biorąc udział w łowach książęcych, trafił na rogi tura i przyniesiono go konającego z poszarpaną piersią i połamanymi żebrami. Po pogrzebie ojca zamieszkała przy starej ciotce, ubogiej wdowie, która nie opodał miała chatkę. W zimie przędły i tkwały, latem zbierały miód, suszyły grzyby, hodowały krówkę, a w ogrodzie miały dużo

ładnych owoców, wisien i jagód. Ludzie kupowali płótno i sukno. W dostatki nie opływały, ale biedy nie znały. Były ze sobą szczęśliwe, bo ciotka, chociaż stara i trochę zdiecinniała, kochała ją i nie krzywdziła.

Arcykapłan obdarzył dziewczynę drobnym datkiem i kazał jej przyjść nazajutrz na to samo miejsce. Odtąd widywali się często. Kriwe-Kriwejcie przynosił dziewczęciu upominki: wstążki barwne, sznury bursztynów lub łakocie, ona mu za to śpiewała rzewne piosnki, albo opowiadała bajki i podania. Zupełnie przestała się obawiać i z dziecięcą pustotą pozwalala sobie na swawole; gładziła różową dłonią jedwabistą brodę kapłana, stroiła mu głowę w kwiaty lub karmiła go malinami, kładąc mu je do ust. Szukali swego towarzystwa i tęsknili do siebie. Sami nie wiedzieli, jak i kiedy wyrzekli słowa miłości, a usta ich w pocałunku się złączyły. Arcykapłan odwiedził dziewczynę w dworku ciotki, przez którą z czcią najwyższą przyjęty został. Do chatki zawitał dobrobyt i stara ciotka już nie potrzebowała ciężko pracować i troszczyć się o jutro.

Kriwe-Kriwejcie zwierzył się ze swą tajemnicą jednemu kapłanowi, który go kochał jak ojca i gotów był życie za niego oddać. Ten, choć przerażony strasznymi następstwami, jakie ten związek musiał za sobą pociągnąć, gdyby byk odkryty, uległ prośbom przyjaciela i zgodził się dopomóc w zawarciu tajnych ślubów z piękną dziewczyną. Owocem tego małżeństwa był syn.

Dziecię to uszczęśliwiała rodziców, ale zarazem przyjście jego na świat czyniło nader trudnym, prawie niemożliwym ukrywanie tajemnicy ich związku. Wykrycie zaś tegoż groziło obojgu straszną karą. Arcykapłan zostałby spalony na stosie, a ją czekało zakopanie żywcem do ziemi.

Próżno łamali głowy nad wynalezieniem sposobu zachowania dziecka przy matce bez wydania tajemnicy. Wreszcie miłość ojcowska podszeptała Kriwe-Kriwejcie sposób wyjścia z kłopotu.

Dowiedział się mianowicie, że za parę dni wielki książę z orszakiem dworzan zjeżdża na łowy, które mają się odbyć w miejscowości przez jego żonę zamieszkaną. W dniu wyznaczonym układa dziecinę w bogato przystrojonej w kwiaty, wstęgi, złote chwasty i świecidelka kolebkę i tę umieszcza w orlim gnieździe na dębie, w miejscu, którego wielki książę nie mógł ominąć, ponieważ było tu siedlisko turów i żubrów. Te Kriwe-Kriwejcie daleko w puszcę spłoszył.

Niedługo potem zagrzmiały w borze rogi i trąby, rozległy się nawoływania myśliwych oraz szczekanie psów i dzielny kunigas z jedną ręką pełną grotów i potężnym oszczepem w drugiej pośpiesza na czele orszaku, gwałtownie rozchylając gałęzie. Ale nagle staje zdumiony. Zamiast bowiem ryku turów słyszy nad sobą kwilenie dziecka. Rozglądając się spostrzega pośród gałęzi na dębie coś błyszczącego. Na rozkaz księcia łowcy włączają na drzewo i ostrożnie składają u stóp książęcych kolebkę z dziecięciem, które, gdy się ku niemu książę skłonił, przestało płakać i uśmiech ku niemu jego drobną i piękną twarzyczkę rozjaśnił. Kunigas i dwór jego stali zdumieni, rozumiejąc, że to cudowne zjawisko jest przez bogów zesłane. Posłano po arcykapłana, który, jakby o niczym nie wiedząc, pośpieszył na wezwanie i zapytany przez księcia, jak by to cudowne znalezienie dziecka wytłumaczył, nie od razu dał odpowiedź. Chcąc ukryć wzruszenie, jakie go opanowało na myśl, iż ta chwila stanowi o jego własnym i drogich mu istot życiu, rozpoczął długą z bogami rozmowę.

Wróżył z wiatru, ze szmeru drzew, oraz z popiołu, który ze sobą z ołtarza świątyni przyniósł. Książę wraz z dworem w skupieniu i z uszanowaniem przyglądał się tajemniczemu gu-

słom wielkiego kapłana. Wreszcie Kriwe-Kriwejte z uroczystą powagą na twarzy wyjął dziecinę z kolebki i podając ją wielkiemu księciu rzekł:

– Książę! Bogowie nową cię łaską obdarzają. Przez ciebie Litwa uszczęśliwioną zostanie. To dziecię zsyłają ci wcześniej bogowie na mego następcę, gdy ten świat opuszczę. Wychowaj je troskliwie, a stanie się twoim i Litwy u bogów pośrednikiem!

Uradowany książę upraszał arcykapłana, by wziął niemowlę do siebie i jego wychowaniem się zajął, ten jednak znowu długą miał rozmowę z bogami, którzy zamiar księcia pochwalili. Wtedy dopiero Kriwe-Kriwejte zabrał znalezione dziecię do swego pałacu, dokąd wezwał również swą żonę, jako piastunkę dziecka.

Książę na pamiątkę cudownego znalezienia dziecka w gnieździe, które po litewsku zowie się lizda, nadał mu imię Lizdejko, zaś samą miejscowość nazwał Werki, od słowa werkt', co znaczy „płakać”.

Bogowie spełnili obietnicę, albowiem Lizdejko po śmierci ojca został arcykapłanem, poślubił siostrę wielkiego księcia Witenesa i szeroko po świecie imię Litwy i własne rozślawił. On to właśnie wytłumaczył Giedyminowi znaczenie snu o żelaznym wilku, co dało powód do założenia Wilna.

PODANIE O ŻELAZNYM WILKU

Na miejscu dzisiejszego Wilna, u stóp wzgórz, gdzie Wilenka wlewa swe wody do Wilii, w XIII wieku znajdowały się nieprzebyte lasy. Wśród tej puszczy dębowej wielki książę Świntorog wznosił świątynię Perkunasa, rozniecił ogień święty, ustanowił tu arcykapłana Kriwe-Kriwejte, kapłanów Kriwe i wajdelotów, czyli ofiarników niższego rzędu. Odtąd miejscowość ta otrzymała nazwę doliny Świntoroga.

Dokoła szumiał bór odwieczny, pełny różnego rodzaju zwierza. Potężny tur – król puszczy litewskiej, budził rykiem stuletnie olbrzymy, nocami szczekały i wyły wilki, drapieżny ryś ukryty w gęstwinie drzew czatował na zdobycz, a liczne różnorodne ptactwo napępniało powietrze pieniem i świegotem.

Nie dziw, że puszcza ta często ściągała myśliwych, a echo roznosiło dźwięki rogów.

Do zapalonych łowców należał wielki książę Giedymin, przebywający w swej nowej stolicy Trokach, gdzie na wyspie pośrodku jeziora Gałwe wznosił zamek warowny. Giedymin z orszakiem towarzyszy swych wypraw wojennych i dworzan często oddawał się ulubionej rozrywce.

Pewnego razu, a było to około roku 1322, książę goniąc olbrzymiego tura, zapuścił się aż na wzgórze, otaczające ujście Wilenki do Wilii i tu na jednej z gór dopadł zwierza i zabił go z kuszy.

Ogromny tur, ugodzony w serce, padł nieżywy, a książę, oparłszy stopę na jego potężnej głowie, zadał w róg w złoto oprawny. Słońce już dawno zaszło i księżyc srebrnolicy wypłynął na niebo, srebrząc wierzchołki lip i dębów i migocąc w nurtach Wilii. Tylko ze świątyni, znajdującej się u stóp wzgórze bił blask czerwony ognia świętego, a smętny śpiew wajdelotów rozlegał się w ciszy nocnej.

Znużeni całodziennym uganiem się za zwierzem uczestnicy łowów, pokrzepiwszy siły skromną wieczną i miodem, układali się na spoczynek, wybrawszy na nocleg zgliszczę Świntoroga, pomiędzy świątynią a Wilią.

Giedymin długo nie mógł zasnąć, wreszcie znużenie przemogło i sen skleił mu powieki. I oto przyśniko mu się, iż na szczycie góry, na której zabił tura, ukazał się wilk ogromny, cały żelazną zbroją okryty. Wilk podniósłszy głowę na księżyc, zawył, a wycie jego było tak donośne, iż zdawało się, że to nie on wyje, lecz sto innych wilków w nim zawartych.

Gdy wschodzące słońce jasnymi promieniami zalało góry, rzekę i przedarło się przez listowie drzew, obudził się Giedymin i przypomniawszy sobie dziwny sen, opowiedział go swym towarzyszom. Jak wszyscy poganie, książę był zabobonny i przypisywał snom znaczenie wieszczce, wierząc, że zsyłają je bogowie, jako radę lub ostrzeżenie. Nikt jednak z dworzan nie mógł odgadnąć, co by takowy sen oznaczał. Wtedy ktoś poradził, by wezwać arcykapłana, słynącego z mądrości Lizdejkę. Kriwe-Kriwejte stanąwszy przed wielkim księciem

i wysłuchawszy jego opowiadania, zamyślił się. Otaczający go kołem rycerze, wpatrzeni w oblicze kapłana, z niecierpliwością oczekiwali wytłumaczenia snu.

Wreszcie Lizdejko wsparłszy jedną rękę na lasce, która była oznaką jego godności, a drugą podniósłszy do góry rzekł:

– Miłościwy książę! Bogowie to zesłali ci ten sen i przez niego wyrażają swą wolę, której gdy będziesz posłuszny, czeka cię potęga i sława. Wilk żelazny znaczy, że na miejscu tym stanie zamek mocny i miasto – stolica państwa, a stu wilków w nim wyjących oznacza mieszkańców, którzy sławę twoją i tego grodu szeroko po świecie rozgłoszą. Masz więc być posłusznym woli bogów, wznieść tu zamek warowny i założyć miasto.

Giedymin przyjął z radością to tłumaczenie i niezwłocznie na górze, którą nazwał „turzą”, zaczął budować zamek, opasany murem z dwiema wieżami sześciobocznymi. U stóp zaś góry, pomiędzy nią a świątynią stanął drugi zamek drewniany, czyli krzywy, z basztami, palisadami i blankami. Dokoła zaczęto wznosić domostwa.

W ten sposób powstał gród, który od rzeki Wilii nazwę Wilna otrzymał, a do którego Giedymin przeniósł swoją stolicę z Trok.

Lizdejce za wytłumaczenie snu wieszczego wielki książę rozkazał zwać się Radziwiłłem.

WAJDELOTKA

Piękna Usparime, licząca szesnastą wiosnę życia, straciła matkę i ojca, który został rozszarpany przez wilki, a że nie miała krewnych, którzy by się nią zaopiekowali, postanowiła zostać wajdelotką, to jest świętą dziewczicą i w świątyni strzec ogień wieczny od zagaśnięcia. Jakoż kapłani dokonali obrzędu poświęcenia. Usparime ubrana w białe szaty, z wieńcem kwiatów na głowie, ślubowała czystość.

Upłynęło parę lat. Młoda wajdelotka wyróżniała się spośród towarzyszek cnotliwością, skromnością i gorliwym pełnieniem obowiązków, toteż kapłani nie szczędzili jej pochwał, a nawet sam Kriwe–Kriwejte stawiał ją za wzór innym ofiarnicom.

A jednak jakiś niewytłumaczony smutek, jakaś tęsknota za czymś nieznanym mąciły spokój jej duszy. Nieraz, siedząc przed ołtarzem, wpatrzona w płomień ognia świętego, dawała się unosić marzeniom w inny nieznaną świat. Czasem, gdy zza murów świątyni dolatywały ją wesołe pieśni młodzieńców i dziewczic, ostry ból ścisnął jej serce, a łzy do oczu napływały.

Raz w wiosenną i jasną noc księżycową Usparime, ukończywszy służbę przy ołtarzu, odpoczywała na kamieniu w gaju świętym, otaczającym świątynię. Dookoła panowała niczym nie zamącona cisza, nie drgnął żaden listek na drzewach, nawet Wilia zdawała się uśpiona i, jakby drzemiąc, leniwie wody toczyła; księżyc w pełni, wypłynąwszy wysoko na niebo, zalewał wszystko dokoła łagodnym, smętnym światłem. Gdzieś niedaleko rozlegały się trele słowika, śpiewającego swej lubej pieśń miłosną. Usparime siedziała obejmując kolana splecionymi dłońmi i wpatrzona w księżyc – marzyła. Czuła, że życie, jakie dotąd pędziła, już jej nie wystarcza, wiedziała, że istnieje życie inne, życie pełne szczęścia i kochania... I zapragnęła kochać i być kochaną. I oto, gdy tak siedziała nieruchoma, pogrążona w marzeniach słodkich, nagle postyszała śpiew. Silny i piękny głos męski śpiewał pieśń namiętną o szczęściu, jakie daje miłość.

Powstała z siedzenia wajdelotka i pragnąc choć z daleka spojrzeć na śpiewaka, zaczęła z bijącym sercem skradać się między drzewami gaju świętego, aż nagle znieruchomiła drżąca i przerażona. O parę kroków przed nią, oparty plecami o pień potężnego dębu, w świetle księżyca, stał młody rycerz w świecącej zbroi. Był to urodziwy młodzieniec, o dziwnie pięknej twarzy i wyrazistych oczach. Długie jasne włosy spływały mu na ramiona.

Ujrawszy przed sobą tak niespodziewanie uroczą wajdelotkę, rycerz w pierwszej chwili wziął ją za bóstwo, ale cała jej postawa, drżenie, rumieniec wykwitły na policzkach, niebawem przekonały go, że widzi istotę ludzką. Oczarowany jej pięknnością, ujął dłoń dziewczyny i w gorących słowach wyrażał swój zachwyt. Usparime była bliska omdlenia ze wzruszenia, ale opamiętała się i, wyrwawszy dłoń z ręki młodziana, uciekła. Przerażona tym, co się stało, resztę nocy spędziła na modlitwie, błagając bogów o przebaczenie za grzech popełniony.

A jednak, gdy nadeszła noc, gdy księżyc rzucił na ziemię swe promienie i gdy znowu dały się słyszeć słowa pieśni, wajdelotka, parta jakąś nieprzewyciężoną siłą, znowu znalazła się

pod dębem. Tam już czekał na nią rycerz. Tym razem był on śmielszy i ujrzawszy dziewczynę, porwał ją w objęcia i usta ich spotkały się w długim, namiętym pocałunku.

Odtąd widywali się co noc, aż stało się to, co się stać musiało... wajdelotka złamała ślub czystości. Miłość owdągnęła ją całkowicie, tak, że zapomniała o całym świecie i zaczęła zaniedbywać swe obowiązki. Omal nie stało się straszne nieszczęście... ogień źle strzeżony już zagasał, szczęściem nastąpiła zmiana i inna wajdelotka, dorzuciwszy drew, roznieciła go na nowo.

Zmiana usposobienia Usparime i jej dziwne zachowanie zwróciły uwagę towarzyszek i kapłanów. Poczęto ją śledzić i wkrótce jej schadzki z rycerzem przestały być tajemnicą.

Zbrodnia była straszną i dla przebłagania bogów winowajczyni powinna była ponieść surową karę.

Sąd, złożony z kapłanów, skazał Usparime na okrutną śmierć.

W oznaczony dzień na brzegu Wilii zgromadzili się kapłani, ofiarnicy i przerażone dziewice święte. Wywleczono z lochu, gdzie była zamknięta, nieszczęśliwą dziewczynę i na wozie, zaprzężonym w dwie czarne krowy, przywieziono na miejsce kaźni. Na dany znak zdarto z niej oznaki świętej dziewicy – białe szaty i wianek, po czym skępowano jej ręce.

Kapłani i ofiarnicy śpiewali grobowymi głosami pieśni, błagając rozgniewanych bogów, aby za winę jednej nie karali wiernych. Niektóre wajdelotki zakrywszy twarze dłońmi rzewnie płakały, gdyż lubiły cichą i dobrą towarzyszkę, a może niejedna w głębi serca rozumiała ją i współczuła.

Miano już przystąpić do wykonania wyroku, który skazywał Usparime na utopienie w rzece w worku razem z psem, kotem i żmiją jadowitą, gdy nagle, nie wiadomo skąd, ukazał się młody rycerz z twarzą groźną i z pałającymi oczyma. Miał na sobie zbroję lśniącą, a w ręku trzymał miecz wzniesiony. W całej jego postaci było coś tak nadprzyrodzonego, taka biła od niego groza, że przerażenie ogarnęło zebranych. Jedni, widząc w nim jakiegoś boga, padli na twarz, inni ratowali się ucieczką.

Rycerz przeciął więzy, krępujące wajdelotkę i grożąc mieczem rozkazał kapłanowi, by mu niezwłocznie dał ślub z ukochaną, po czym tuląc w objęciach tylko co poślubioną żonę, rzucił się z brzegu do Wilii i znikł w jej nurtach.

Na wodzie w tym miejscu powstał dotąd istniejący wir.

Odtąd niekiedy, gdy księżyc w pełni wznosi się wysoko na niebo, z rzeki wypływa piękna Usparime, siada na brzegu i, karmiąc niemowlę, cichym głosem nuci piosenkę o swej przygodzie. Czasem w towarzystwie rycerza ukazuje się rybakom i wtedy słychać przy nich warczenie psa, miauczenie kota i syk żmii.

SŁOWIK I RÓŻA

Gdy wielki książę Giedymin miał w dolinie Świntoroga sen wieszczcy o żelaznym wilku, założył wtedy miasto Wilno, a na górze wyniosłej zamek warowny zbudował. Opodal na Antokolu nad Wilią wyznaczył miejsce na ogrody wielkksiążęce, nad którymi dozór powierzył staremu słudze i towarzyszowi wypraw wojennych. Ten, do wojaczki z powodu odniesionych ran już niezdolny Litwin, ponury i nietowarzyski, dwie tylko na świecie miłował istoty, mianowicie: kunigasa Giedymina i córkę jedynaczkę, imieniem Skajstoy, która mu po zmarłej przed laty żonie pozostała, a którą sam grubymi rękami wypiastrzał. Toteż kochał ją jak umiał i strzegł swego skarbu – jedyne, jaki posiadał.

Czas upływał, mała rośla i z dzikiej, śniadej dziewczeczki nieznacznie przekształciła się w urodziwą wysmukłą dziewicę, o ciemnych bujnych włosach, o rzucających snopy błysków oczach, o białym, gładkim czole i policzkach okraszonych delikatnym, jak listek róży, rumieńcem. Gdy drobne usteczka rozchyliły się w uśmiechu i błysnął z nich rząd białych równych pereł, zdawało się, że słońce wyjrzało zza chmury i wszystko wokoło światłością oblało.

Kwiat tak piękny niedługo pozostawał w ukryciu. Nieraz, gdy Skajstoy w czwartki² wieczorem dążyła do świątyni wszystkich bogów na Antokolu, by się pomodlić i zapalić świecę woskową, przechodnie, wyminawszy dziewczynę, odwracali głowy, aby jeszcze raz na nią okiem rzucić. A gdy w czwartek przed świątynią Perkunasa słuchała z na wpół rozwartymi ustami sędziwego Kriwe-Kriwejte, ogłaszającego ludowi wolę bogów, chłopcy tłumnie otaczali urodziwą dziewczę, pasąc oczy niezwykłą jej pięknnością, i niejeden młody ofiarnik-wajdelota opuszczał powieki przed blaskiem z jej źrenic bijącym, żywy rumieniec zabarwiał mu czoło i policzki, a westchnienie pierś podnosiło. Sam kunigas dziwił się tak niepospolitej piękności i, klepiąc starego sługę po ramieniu, mawiał zartobliwie:

– Gdybym to ja był o 30 lat młodszym!

Stary dozorca ogrodów rozumiał, iż zbliża się czas, kiedy mu córkę zabiorą i wypatrywał sobie zięcia po myśli.

Na dworze Giedymina był młody Litwin Dajnas, który sokoły i jastrzębie książęce miał w swojej opiece. Niepodobny z usposobienia do swych rubasznych towarzyszków, nie lubił ich rozwiązanych hulanki i zabaw, lecz szukał samotności. Udawał się zwykle nad brzegi Wili i tu usiadłszy pod rozłożystym drzewem i wodząc zadumanymi oczami po malowniczych widokach, jakie się przed nim roztaczały, śpiewał. A głos miał przedziwny, jakby nieziemski i bez wzruszenia nie można go było słuchać, tak do duszy przenikał. Nieraz, gdy tak śpiewał, zbierała się za nim gromadka ludzi, którzy słuchali w milczeniu, obawiając się poruszeniem przerywać pieśń. Pieśń płynęła i tony jej przenikały do serc, a tyle w niej było tęsknoty, tyle bólu

² Czwartek był u litewskich pogan dniem świętecznym, jak u chrześcijan niedziela (przypis autora).

serdecznego i żalu, że dziewczęta na głos szlochać poczyniły, chłopcy ciężkie wydawali westchnienia, a starcy głowy na piersi spuszczały i spracowaną dłonią łzę z powiek ocierali... Lubiono powszechnie Dajnasę, ponieważ był łagodny, nikomu nie ubliżył, nikogo nie skrzywdził, a każdemu chętnie posłużył.

Zdarzyło się, że śpiew Dajnasę posłyszał stary ogrodnik i śpiew ten dziwne w duszy jego uczucia rozbudził. Jeden za drugim, pod wpływem czarujących tonów, wyłaniały się z pamięci obrazy minionych lat: pieszczoty matki, gdy był niemowlęciem, lament płaczek i żałobne pienia kapłanów, gdy zwłoki ojca jego, poległego w boju, na stosie palono i miłosne, drżące słowa żony, gdy przed skonaniem szyję jego stygnącym ramieniem objęła i dziecięcą opiece jego oddawała... Stary nie czuł, jak łzy, niczym krople deszczu spływały mu po policzkach, a pierś łkanie rozsadało, aż ryknął płaczem, tak, iż śpiewak pieśń przerwał i z miejsca strwożony się porwał...

Stary polubił Dajnasę, zapraszał do swego dworku, a gdy bliżej jego piękną i czystą duszę poznał, przeznaczył go sobie na zięcia. Uroda i wdzięk Skajstoy olśniły młodzieńca. Miłość gorąca, miłość, o jakiej dotąd pojęcia nie miał, oświeciła całą jego istotą i zapaliła w sercu płomień, który go trawił i pożerał.

Ale dziewczyna pozostawała obojętna. Nie obudziło się jeszcze w niej serce. Chętnie piosnek Dajnasę słuchała, ale nigdy żywszy rumieniec nie okraślił jej jagód, gdy go po dłuższym niewidzeniu spotkała, nie dostrzegała płomienia w jego oczach, nie odczuwała w jego pieśni miłości, nie słyszała drżenia jego głosu i nie widziała coraz większego smutku i bladej twarzy śpiewaka. Nie czuła jeszcze potrzeby kochania; była dzieckiem.

Czasem nudził ją i wtedy uciekała do lasu. Stary martwił się i próbował zwrócić uwagę jedynej na miłość, jaką do niej młody śpiewak pałał, ale mu to jakoś nie szło.

Wreszcie Dajnas stracił wszelką nadzieję, zapadł w smutek bezdenny i zaczął opuszczać się w służbie, za co się nieraz z pięścią księcia zapoznał.

Jednego wieczora, gdy Skajstoy była dlań bardziej niż zawsze obojętna, Dajnas, pomodliwszy się do bogini miłości Mildy, usiadł na stromym, brzegu Wilii i zaczął śpiewać. Z piersi jego płynęły dźwięki tak niezwykle, że wiatr zatrzymał się w locie, drzewa przestały szeptać, fale rzeki stanęły nieruchome, a ptaki w lesie i koniki polne w trawie zamilkły zasłuchane.

Płynęły w przestrzeń tony miłości beznadziejnej, tony żalu i krzywdy, aż nagle urwały się i śpiewak z okrzykiem rozpaczy rzucił się w nurty Wilii i już się więcej nie pokazał.

Tej samej nocy na gałęzi lipy przed oknem Skajstoy usiadł mały szary ptaszek – słowik i zaczął śpiewać. To bogini Mildy zamieniła Dajnasę w ptaszka, którego trele zbudziły ze snu dziewczynę. Podniosła się z pościeli, otworzyła okno i cała fala dźwięków cudownych wtargnęła do izby. Dziwne, nieznane dotąd uczucie napełniło pierś dziewczyną. Cała drżąca, tuląc rąbek bielizny do łona, stała w łagodnym blasku księżyca, zasłuchana w śpiewie i w małego ptaszka wpatrzona. Aż pieśń jego przenikła do jej serca. Zrozumiała co to miłość, zrozumiała, że kocha Dajnasę.

Zbudziła ojca i, tuląc się do jego piersi szerokiej, wyznała, co się w jej sercu dzieje. Ucieszony stary niebawem posłał do zamku pachołka, by młodego śpiewaka przywołał. Próżno go jednak szukano w zamku, w świątyni, w innych miejscach. Nigdzie Dajnasę nie znaleziono. Tylko stary rybak nad ranem opowiedział, iż słysząc śpiew nad Wilią, podpłynął na łodzi, ale śpiewak umilkł i rzucił się w głębinę rzeki.

Odtąd Skajstoy przestała się uśmiechać, usta jej pobladły, z policzków znikł rumieniec, a zamglone łzami oczy już snopów blasków nie rzucały. Smutna ślaniała się jak cień i żyła

oczekiwaniem nocy. Z jej nadejściem otwierała okienko swej izdebki. Na gałązce już siedział szary ptaszek, który wnet rozpoczynał swą pieśń i do rana śpiewał dla swej ukochanej pieśń miłosną. Skajstoy słuchała skapana w świetle księżycy, zalana łzami i wyciągała ku śpiewakowi białe ramiona..

Pewnego ranka stary ogrodnik nie znalazł córki w jej izbie. Okno było otwarte, a przed nim pod lipą wyrósł w nocy krzak stulistnej róży, ale kwiatu na nim nie było. To bogini Mil-da ulitowała się nad biedną dziewczyną i zamieniła ją w krzak róży, ale za karę kazała mu zakwitać wtedy dopiero, gdy słowik śpiewać przestaje.

Ogrodnik opowiedział księciu o tym co zaszło i wkrótce umarł. Giedymyn na miejscu domku ogrodnika zbudował świątynię bogini miłości Mildy i gaj jej poświęcił. Dziś tu stoi kościół św. Piotra i Pawła.

POGRZEB KIEJSTUTA

Bohaterski Kiejstut z synem Witoldem zdradziecko przez Jagiełłę uwięziony, w lochu zamku krewskiego osadzony został.

Wieść o tym lotem błyskawicy przeleciała po całej Litwie i Żmudzi budząc w sercach bolesne uczucia. Któż bowiem nie czcił i nie kochał pana na Trokach, rycerskiego i szlachetnego starca? Ale przerażenie, gniew i oburzenie dosięgły szczytu, gdy w pięć dni potem, jak piorun z nieba, spadła straszna wiadomość, że Kiejstut z rozkazu Jagiełły przez pacholków jego i knechta krzyżackiego w podziemiu krewskim został uduszony. Przeląkł się Jagiełło swego czynu sromotnego, zadrżał na tronie wielkoksiążęcym przed gniewem ludu i postanowił oczyścić się z zarzutu morderstwa stryja przez urządzenie mu wspaniałego pogrzebu.

Zwłoki Kiejstuta na wspaniałych noszach nieśli z Krewa do Wilna kolejno się zmieniający niewolnicy, poprzedzani przez sto płaczek – *raudietojas*, które głośno zawodząc, śpiewały raudy i obficie lały łzy do szklanych łzawnic. Przed nimi szli muzykanci i trębacze, ogłaszający lasy brzękiem mosiężnych talerzy, oraz rykiem trąb i rogów. Stu zbrojnych w dzidy, topory i łuki żołnierzy otaczało nosze ze zwłokami, a za nimi kroczył wierny sługa kunigasa, który postanowił umrzeć na stosie przy swoim panu; prowadzono konia Kiejstutowego, jego psy, niesiono sokoły i jastrzębie, a w skrzyniach: mitrę, odzież, oręż, pasy złociste i klejnoty. Na czele orszaku na rączych koniach jechało dwudziestu młodzianów. Ci wywijali mieczami i wyrzucali je w powietrze, odganiając złe duchy i groźnie krzycząc: „Uciekajcie od ciała tego wy diabli!” (*Ginkiet, bikiet Pikole!*).

Po drodze głośny lament płaczek, dźwięk trąb i okrzyki mężczyzn wywabiały z chat ludność, która tłumnie z żałobnym pochodem się łączyła, toteż gdy orszak ku Wilnu się zbliżał, już liczył tysiące głów. Przed miastem w otoczeniu bojarów i rycerzy, przybrany w szaty żałobne, czekał wielki książę Jagiełło. Ujrzawszy orszak, zsiadł z konia i z udaną na obliczu boleścią ku noszom się zbliżył, a gdy je na ziemi postawiono, z nieszczerym, bo zbyt głośnym płaczem przypadł do zimnych zwłok stryja.

Znowu wzięto nosze na barki i do zamku niesiono. Tam już czekała ogrzana łaźnia, w której niebawem ciało nieboszczyka obmyto, namaszczono i ubrano w białą koszulę, lśniąca zbroję, pas złocisty, kamieniami wysadzany, płaszcz szkarłatny, bogato złotem szyty, oraz czapkę książęcą. Przy boku zawieszono miecz, który w bezwładnej dziś dłoni Kiejstuta, niedawno jeszcze dla wrogów Litwy był straszny. Szyję zmarłego owinięto płóciennym ręcznikiem, z zaszytymi w nim monetami, aby książę miał czym wejście na tamten świat okupić.

Tak ubranego wniesiono do największej w zamku dolnym izby i usadzono w krześle. Pomimo gwałtownej śmierci twarz rycerskiego starca zachowała zwykły wyraz szlachetnej dumy i powagi, którą podnosiła spływająca na piersi biała broda i siwe, ściągnięte nad zamkniętymi powiekami brwi. Obok postawiono beczki z miodem i piwem i szeroko podwoje zamko-

we otwarto, aby każdy, bez różnicy stanu i płci mógł kunigasa pożegnać. Przez pięć dni płynęły do zamku książęcego fale ludu i trwało pożegnanie. Pierwszy żegnał stryja Jagiełło, przepijając do zmarłego i z płaczem go pytając:

– Piję do ciebie, drogi stryju, dlaczegoś umarł?

Na to wszyscy obecni powtarzali: – Dlaczegoś umarł?

– Nie miałeś co jeść i pić?

– Nie miałeś państwa, zamków i sług?

– Nie miałeś bogactw, odzienia i klejnotów?

– Nie miałeś żony ukochanej, nie miałeś dzieci? O, książę, dlaczegoś umarł?

Przyprowadzono z więzienia syna zmarłego, Witolda. Ten nie zawodził, twarz miał skamieniałą, usta zaciśnięte z bólu i ani jednej łzy w oku. Zbliżył się do ciała ojca i ujawszy jego zimną dłoń, długo się w kochane oblicze wpatrywał, ślubując w sercu zemstę. Potem nie spojrzawszy nawet na strapionego Jagiełłę, z dumnie podniesionym czołem izbę opuścił i do więzienia powrócił, by tam czekać na pogrzeb ojca.

Tymczasem w dolinie Świntoroga pomiędzy świątynią Perkuna i Wilią na zgliszczu czyniono przygotowania do pogrzebu. Liczni pachołkowie zwozili z gaju łukiskiego olbrzymie kłody dębowe i sosnowe i pod dozorem starszych układali stos wysoki, przekładając drzewo suchym mchem i słomą oraz strojąc w wieńce z liści dębowych. Na czterech rogach ustawiono beczki z żywicą i tłuszczem, zaś na osobnym wzniesieniu umieszczono urnę ozdobną, do której miano złożyć popioły, pozostałe po spaleniu ciała.

Na szósty dzień, wobec niezliczonych tłumów ludu, który zajął całą dolinę Świntoroga, góry, a nawet parkany i wały zamkowe – wyniesiono na krześle zwłoki Kiejstuta i umieszczono je na szczycie stosu na wzorzystym kobiercu. Książę jakoby z wysokiego tronu zdawał się błogosławić i żegnać lud u stóp jego zgromadzony, który własną pierś nieraz przed wrogiem zasłaniał, te góry, lasy i rzeki, słowem tę Litwę tak umiłowaną, którą na wieki opuszczał w chwili, gdy był dla niej tak potrzebny.

Za księciem wstąpił na stos i stanął przy krześle wierny stary sługa, który przez całe życie dzielił z panem dobre i złe losy i teraz nawet nie chciał się z nim rozłączyć, pragnąc służyć mu po śmierci tak, jak za życia służył. Z wielkim trudem wprowadzono rumaka książęcego, co go w bojach nosił i w niejednej potrzebie od śmierci ratował. Koń, jakby rozumiejąc, jak straszna śmierć go czeka, rwał się z rąk stajennych, chrapał i stawał dęba; wreszcie pogodził się z losem i dał się na stos wprowadzić. Tu go skrepowano powrozami i powalono. Biedne zwierzę leżało nieruchome, z wyciągniętą szyją, z rozrzuconą bujną białą grzywą i tylko z wyrzutem wodziło oczami po zebranych tłumach. Rozmieszczono na stosie powiązane psy myśliwskie, sokoły, i jastrzębie, które księciu podczas łowów służyły, a które i w krainie wiecznej szczęśliwości miały mu rozrywki dostarczać. U stóp zmarłego rozłożono potrzebne w przyszłym życiu przedmioty. A była tego mnogość wielka, więc: broń, lśniąca w słońcu bogatymi ozdobami, naczynia kosztowne, szaty i pasy złociste, chleb i napoje, wreszcie salka z pieniędzmi. Czekala księcia długa podróż i wszystkie te rzeczy mogły się przydać.

Na hasło dane przez trębaczy, na oczyszczone i ubite pole, na którym rozłożono w pewnych odstępach upominki od nieboszczyka, wyjechało na rączych koniach dziesięciu młodych Litwinów. Rozpoczęły się gonitwy, którym tłumy z ciekawością się przyglądały. Jeźdźcy ustawieni w szeregu na dany znak zrywali się z miejsca w cwał i w szalonym biegu zręcznie się ku ziemi z koni schylali i chwytali leżącą tu broń, części ubrania, naramienniki i inne dary,

które wysoko nad głową podnosili. Tłumy witały zwycięzców gromkimi okrzykami, które echem w górach się odbijały.

Trzeba jednak było z obrzędem pośpieszać, ponieważ z zachodu podnosiła się ciemna, czarna jak całun pogrzebowy chmura i szybko na jasne niebo wpełzała. Zagrzmiały rogi i długie trąby, dał się słyszeć śpiew chóralny przeciągły i ponury i z świątyni Perkunasa spomiędzy dębów odwiecznych wyszli kapłani. Na czele kroczyli parami młodzi stróże ognia wiecznego – wajdeloci z opuszczonymi powiekami, przybrani w białe kaftany, spinane na piersiach sznurami i owinięci około bioder białymi przepaskami. Za nimi szli kapłani Kriwe, o twarzach poważnych, w wieńcach dębowych i w białych szatach, naszytych u spodu kosmykami włosów bydłecych. Każdy miał w ręku wysoką zakrzywioną u góry laskę. Dalej, między dwoma starszymi kapłanami szedł najwyższy kapłan Kriwe-Kriwejte, zgarbiony wiekiem starzec, w wysokiej czapce i w powłóczystych białych szatach z wyobrażonym znamięm Perkuna na piersiach. Jedną ręką wspierał się na lasce wysokiej z trzema zagięciami u góry, w drugiej niósł zapaloną u ognia świętego pochodnię. Orszak z wolna wstąpił na zgliszcze i ku stosowi się zbliżył. Wtedy arcykapłan, złożony głęboki ukłon, powtórzony przez wszystkich obecnych, rozpoczął pochwałę zmarłego księcia i wysławianie jego cnót i zasług. Zamilkł na chwilę i wznosił oczy ku górze, jakby czegoś w przestworzach szukał, po czym zawołał wielkim głosem:

– Widzę cię szlachetny kunigasio, widzę cię w zbroi jaśniejącej, jadącego na żarkim koniu pośród nieba ptasią drogą³. W ręku masz trzy gwiazdy i wstępujesz do mieszkania wiecznego szczęścia w orszaku licznych duchów!

I wszystkim się zdało, że również widzą księcia dążącego szlakiem niebieskim. Przesądny i zabobonny Jagiełło był blady i pomieszany.

Po przemówieniu arcykapłan zapalił z czterech stron suche mchy i drwa, a pochodnię na szczyt stosu cisnął. Czerwone i żółte płomyki zrazu z wolna zaczęły lizać kłody dębowe i sosnowe, aż w górę wielkim płomieniem strzeliły, a kłęby czarnego dymu skryły zwłoki księcia. Niebawem cały stos stanął w ogniu. Dało się słyszeć bolesne rżenie konia i skowyt psów. Wajdeloci lali na stos żywicę, zaś kapłani i bojarowie rzucali w ogień szpony orle i niedźwiedzie, aby przy ich pomocy zmarły łącniej mógł się na górę wiecznej szczęśliwości Anafielas dostać.

Tymczasem czarna chmura całkowicie niebo pokryła, tak że zapanował mrok, oślepiająca błyskawica rozdarła jej łono, i z przeraźliwym trzaskiem gdzieś w bliskości padł piorun. Stos jednak płonął niczym jasna pochodnia. Wtem stało się coś niezwykłego. Oto wśród błyskawic i huków grzmotów rozstąpiła się ziemia i pochłonawszy stos płonący razem z szczątkami Kiejstuta, znowu się nad nim zawarła, tak, że nawet śladu nie pozostało. Przerażony lud tłumnie w różne strony pierzchnął, a bojarowie uprowadzili do komnat zamkowych na współprzytomnego Jagiełłę. Tylko kapłani bez cienia trwogi poważnie do świątyni wrócili, by tam zanieść modły do Perkunasa, groźnego władcy piorunów i burzy.

³ Litwini zwali Mleczną Drogę ptasią (przypis autora).

STUDZIENKA W KOŚCIELE ŚW. KRZYŻA

Promienie wiary katolickiej zaczęły przenikać do Wilna już na początku XIV wieku, kiedy wielki książę Giedymin, pragnąc, zapewnić miastu spokój przed Krzyżakami, chociaż sam poganin, sprowadził do Wilna kilku zakonników dominikanów i franciszkanów. Nie wiadomo jednak, co się z nimi stało.

Za panowania wielkiego księcia Olgierda, jego namiestnik Gasztołd, który przyjął katolicyzm, sprowadził do Wilna 14. franciszkanów i osadził ich w swoim ogrodzie, gdzie dla nich niewielki klasztor drewniany wybudował, a całą przestrzeń wysokim i mocnym parkanem ubezpieczył.

Nowi apostołowie gorliwie zaczęli głosić słowo Boże i nawracać pogan, czym wzbudzili ku sobie nienawiść kapłanów pogańskich. Skorzystali oni z nieobecności w Wilnie Olgierda i Gasztołda i w roku 1345 podburzyli lud, wmówiwszy mu, że franciszkanie są przyczyną zarazy, która w tym czasie w mieście panowała, że czary i truciznę między lud rzucali i studnie zatruli. Wzburzony ciemny lud rzucił się na ubogi klasztor i wyłamał parkan, porwał siedmiu zakonników, którzy spokojni, uściskawszy się wzajemnie i polecivszy się Bogu, na klęczkach w modlitwie oczekiwali śmierci. Zelżonych, zbitych niemiłosiernie i skrępowanych powrozami zawleczono na rynek i tam w miejscu, gdzie dziś stoi ratusz, ścięto. Innym siedmiu zakonnikom udało się wymknąć zawczasu z klasztoru i schronić się w górach antokolskich, lecz niebawem wykryci zostali i przybici do krzyży. Trzy takie krzyże z ciałami męczenników poganie ustawili na Łysej Górze, inne zaś cztery ze stromej góry do Wilenki strącili. Olgierd wróciwszy do Wilna srodze winnych morderstwa ukarał.

Gasztołd z czcią pogrzebał ciała umęczonych zakonników w swoim ogrodzie i nad wspólną ich mogiłą postawił kapliczkę drewnianą, a przy niej kolumnę murowaną z figurą Chrystusa ukrzyżowanego.

Wkrótce potem przy grobie męczenników wytrysnęło źródło czystej, zimnej wody, które ujęto w studzienkę niegłęboką. Woda w niej stoi zawsze na jednej mierze na półtora łokcia niżej powierzchni ziemi, ani przybywa, ani ubywa nigdy.

Gdy w roku 1543 biskup wileński Paweł książę Holszański wybudował na grobie męczenników kościółek św. Krzyża, studzienka znalazła się w jego wnętrzu z prawej strony.

Lud przypisuje wodzie tej studzienki własności lecznicze, zwłaszcza w chorobach oczu.

LEGENDA O KRZYŻU W KOŚCIELE KATEDRALNYM

Sto dwadzieścia lat przetrwała w dolinie Świntoroga świątynia groźnego Perkunasa – króla bogów i ludzi, sto dwadzieścia lat przed jego posagiem płonął nie przygasając ani na chwilę ogień wieczny, a w podziemiu chowały się święte giwojty, czyli gady, węże i żaby.

Lecz oto na tronie wielkksiążęcym zasiadł Jagiełło. Ten, po przyjęciu chrztu, przez małżeństwo z Jadwigą został królem polskim po podpisaniu zobowiązania, iż na Litwie chrześcijaństwo wprowadzi. Jakoż, nie zwlekając, z królową, dworem i księżmi polskimi przybył do Wilna i dzieło nawrócenia pogan rozpoczął.

Gdy tłumy ludu były przez arcybiskupa gnieźnieńskiego Bodzętę ochrzczone, przystąpiono do niszczenia wszelkich śladów pogaństwa.

Pierwsza runęła świątynia Perkunasa. Wycięto gaj poświęcony, zburzono ołtarze i ściany, wybito węże i gady, a posągi bóstw pokruszono i do Wilii wrzucono. Ostatni Kriwe-Kriwejte Gintowt schronił się w okolice Kowna do Okojni i tam życie zakończył, oplakując bogów, którym wierny do śmierci pozostał.

Nic nie pozostało ze starej świątyni, za wyjątkiem wieży i sklepu, które do naszych czasów przetrwały. Postarano się, aby nic nie przypominało ludowi jego bogów. Na gruzach świątyni, w miejscu, gdzie wznosił się główny ołtarz, zatknięto zwyczajski Krzyż, którego nie ruszono przy budowie kościoła, wzniesionego przez Jagiełłę na fundamentach zburzonej świątyni i to godło odkupienia pozostało we wnętrzu katedry, wcale do dzisiejszej niepodobnej.

Niedługo, bo tylko dwanaście lat przetrwał ten pierwszy na Litwie kościół Jagielloński. W straszliwym pożarze w roku 1399 zgorzał do szczytu. Wówczas wielki książę Witold z żoną Anną wznieśli na tym samym miejscu nową, okazalszą świątynię w stylu germańskogotyckim z licznymi wieżyczkami. Ale przy budowie kościoła zapomniano postawić krzyż na dawnym miejscu.

Pewnego dnia przybył do katedry z prowincji staruszek ksiądz o długiej siwej brodzie i dziwnie pogodnej twarzy i prosił księdza oficjała Walentego, by go po nowej świątyni wprowadził. Podziwiał wspaniałe jej urządzenie wewnętrzne, bogate i misternie rznięte srebrne lampy i świeczniki i był zachwycony muzyką, złożoną z trąb, obojów, piszczałek, bębnów i kotłów. Żegnając księdza oficjała w gorących słowach wyraził radość z odnowienia świątyni, ale jednocześnie wymawiał, iż zaniedbano postawienia na dawnym miejscu drewnianego krzyża, tej cennej pamiątki. Nie przyjął staruszek zaproszenia księdza Walentego, by z nim

skromny posiłek podzielił i pośpiesznie katedrę opuścił. Ksiądz oficjał nie zwrócił uwagi na słowa starca i wkrótce o nich zapomniał.

W kilka dni potem biskup Mikołaj był obecny na nabożeństwie w katedrze i, klęcząc u bogato rzeźbionego i obitego adamaszkiem klęcznika, gorąco się modlił. Nagle opanowało go tak wielkie znużenie i senność, iż nie mógł się przewyciężyć i, skłoniwszy czoło na klęcznik, zasnął. W tej samej chwili ujrzał nieżyjącego już od lat dziesięciu pierwszego biskupa Andrzeja, który opromieniony dziwnym światłem, wyniósł z zakrystii wielki krzyż drewniany, umieścił go pośrodku prezbiterium i, skinąwszy na klęczącego biskupa, zniknął. Biskup Mikołaj zaraz potem się obudził i nie mógł opanować wzruszenia i wrażenia, jakie widzenie to na nim sprawiło. Gdy po skończonym nabożeństwie opowiedział o nim zebrany księżom, wtedy ksiądz oficjał Walenty przypomniał rozmowę, jaką miał ze starszym księdzem, zwiedzającym katedrę, którego nikt przedtem nie widział i nie znał. Jak się z opisu okazało, ów ksiądz i widziany przez biskupa Mikołaja jego poprzednik Andrzej byli jedną i tą samą osobą.

Gdy wieść o tym doszła do wielkiego księcia Witolda, ten własnym kosztem wystawił w środku kościoła wspinały ołtarz św. Krzyża, który bogato uposażył i na którym kazał umieścić ciemny krzyż drewniany z niewielką, lecz misternie z kości słoniowej rznętą figurą Zbawiciela, będący również jego darem.

Ta figura Chrystusa ocalała we wszystkich pożogach i wojnach i dotąd przechowuje się w zakrystii na krzyżu drewnianym, noszonym w procesji w Wielkim Tygodniu.

JASIŃSKI

Krzyżacy! Krzyżacy! Straszne to słowo napełniało przerażeniem, rozpaczą i nienawiścią serca Litwinów. Ileż bowiem klęsk sprowadzało na kraj zjawianie się tych zakutych w stal mnichów, którzy na płaszczach mieli wyobrażenie krzyża, jako godła miłości i miłosierdzia, w sercach zaś obłudę, złość i chciwość, a w rękach miecze zbroczone krwią bezbronnej ludności. Ci, niby głoszący naukę Chrystusową apostołowie zbrojni i dumni szli przez Litwę przy blasku płonących osad, wśród jęków i rżenia konających pod ich mieczami, wśród płaczu złupionych i uprowadzanych w ciężką niewolę Litwinów, ich żon i dzieci. Po przejściu zbrojnych hufców krzyżackich miasta i osady obracały się w kupy gruzów i popiołów, setki trupów zaściełały drogi i zawisały na drzewach, a kwitnący i spokojny kraj zamieniał się w pustynię i olbrzymi cmentarz. Nie dziw tedy, że Litwini całym swym prostodusznym sercem nienawidzili Krzyżaków, że na pierwszą wieść o ich zbliżaniu się mężczyźni chwyтали za topory i oszczepy, zaś kobiety z dziećmi szukały schronienia w niedostępnych kryjówkach leśnych i w miastach warownych.

Gdy do Wilna doszła straszna wieść, że Krzyżacy przeszli Niemen, wkroczyli do Litwy i dążą ku stolicy, siejąc po drodze śmierć i spustoszenie, w mieście wszczął się popłoch nie do opisania. Z gorączkowym pośpiechem pakowano w skrzynie odzież, naczynia i klejnoty i ukrywano w lochach i kryjówkach podziemnych. Dniem i nocą wzmacniano zamki, do których schroniła się część mieszkańców z żonami, dziećmi i dobytkiem. Naprawiano ostrokół, opasujący krzywy-gród, sypano wały i pogłębiano fosy. Do warowni zwożono zapasy żywności, broni i prochu, słowem, w mieście i zamku wrzało jak w ulu. W trwożnym oczekiwaniu straszniego wroga upłynęło dni kilkanaście, aż jednej nocy zajaśniała na niebie krwawa luna jako zwiastunka Krzyżaków, którzy chciwi mordu i łupów śpiesznie ku Wilnu dążyli. Jakoż nad ranem jaśniejąc od białych płaszczów, lśniących zbroi i pawich piór, wpadły do miasta pierwsze oddziały i wnet w kilku jego miejscach strzeliły w niebo płomienie zapalonych domostw i podniosły się słupy czarnych dymów. Rozległy się rozpaczliwe krzyki wywlekanych z kryjówek starców, niewiast i dzieci, których szlachetni rycerze przeszywali kopiami, wieszali i znęcali się w sposób nieludzki. Ani rozpaczliwe błaganie bezbronych ofiar, ani kwilenie niemowląt, odrzutowanych od piersi matczynej nie były w stanie poruszyć serc kamiennych.

Sprawiwszy rzeź straszliwą, Krzyżacy rozłożyli się obozem około kościoła Panny Marii na Piaskach i zajęli samą świątynię, pomordowawszy naprzód kapłanów. Do północy trwała dzika orgia i rozpasanie. Nazajutrz przypuścili szturm gwałtowny do zamku, sądząc, iż z łatwością drewnianą twierdzę zdobędą. Ale mężna załoga godnie nieproszonych gości spotkała. Olbrzymie belki i kamienie runęły z góry na Krzyżaków, miażdżąc głowy i piersi, wrząca smoła i ukrop strumieniem lały się z wysokich parkanów i wałów, a kule kamienne wyrzucane z katapult, salwy broni ręcznej i chmury strzał w krótkim czasie zasłały trupem zie-

mię i fosy ciałami rannych i poległych wypełniły. Krzyżacy, nie spodziewając się tak zaciętego oporu, w nieładzie do obozu się cofnęli. Nazajutrz i w dniach następnych ponawiali szturm, ale zawsze z jednakowym skutkiem. Postanowili tedy wziąć twierdzą głodem, zajęli Górę Trzykrzyską i na niej wyznaczyli główną kwaterę. W pysznym namiocie zamieszkał mistrz zakonu, inne namioty zajęli komturowie i starszyzna, zaś główna sika pozostała na dawnym miejscu około kościoła.

Czas upływał. W zamku z przerażającą szybkością topniały zapasy żywności i prochu. Zmniejszono do połowyienne porcje, ale każdy rozumiał, iż niedaleka jest chwila, kiedy trzeba będzie wybierać pomiędzy śmiercią głodową a niewolą, lub mieczem krzyżackim. Próbowano rozpaczliwych nocnych wycieczek, ale nie było sposobu wyparcia wroga, ponieważ roztopione śniegi znowu zamarzły i pokryły górę powłoką lodową, czyniąc ją nieprzystępną.

W wojsku litewskim był żołnierz Jasiński. Niezgrabny i małowówny odznaczał się niezrównaną siłą i męstwem. Znany był dobrze Krzyżakom, którym jego miecz olbrzymi nieraz dał się we znaki.

Jasiński powziął zuchwały zamiar wyparcia z Góry Trzykrzyskiej nieproszonych gości. Wypowiadał się, całą noc krzyżem przeleżał, rano wysłuchał mszy świętej w katedrze i przyjął komunię. Tak pokrzepiony na duchu, wybrał spośród koni najsilniejszego i najbardziej zmyślnego i ostro go podkuł. Było już południe, kiedy Jasiński, dosiadłszy rumaka, przez dolinę Świntoroga i Wilenkę dostał się do stóp góry. Z tej strony nie widać było na górze ani jednego Krzyżaka. Jasiński przeżegnał się i wbił ostrogi w boki koniowi, który jednym skokiem znalazł się wraz z jeźdźcem na pochyłości góry. Rozumne zwierzę, wiedzione instynktem, ostrożnie wspinało się po szklistej powłoce lodowej, wybierając miejsca, na których by się mogło na nogach utrzymać. Parę razy omal nie runęli do rzeki. Wolno, krok za krokiem, posuwali się naprzód, aż wreszcie stanęli na szczycie góry. Po chwili Jasiński znalazł się przed wspaniałym namiotem. Przy stole, pokrytym kobiercem i zastawionym jadłem i dzbanami z winem, oparty plecami o poręcz krzesła siedział sam mistrz zakonu. Znać tylko co skończył obiad i teraz w rozpiętym kaftanie, wyciągnawszy przed siebie nogi i zwiesiwszy głowę na piersi, drzemał. Był sam w namiocie. Z innych dolatywał gwar głosów, śmiechy, cyniczne pieśni i brzęk pucharów. Było jasne, że cała starszyzna ucztowała, czując się bezpiecznie na niedostępnej górze.

Jasiński wpadł do namiotu i zanim mistrz zdołał wydać głos, porwał go, zakneblował usta i skrępowanego na siodło rzucił. Odkonanie się to z taką szybkością, że w obozie nikt nie spostrzegł porwania, zwłaszcza, że wejście do namiotu było zwrócone ku spadzistości, po której śmiałek na górę się dostał. Stokroć trudniejszym było zejście z góry, bo i koń musiał dźwigać ciężar podwójny i w obozie mogli lada chwila spostrzec porwanie mistrza. Ale szczęście sprzyja odważnym i Jasiński, choć z trudem niemałym, pomyślnie wszystkie przeszkody przebył i na dole się znalazł. W tej samej chwili na górze wszczął się tumult i hałas, jeden bowiem z knechtów spostrzegł Jasińskiego, gdy ten był już u spodu góry, a w jeńcu, w poprzek siodła leżącym, poznał mistrza. Zbiegli się Krzyżacy na brzeg góry, ale stali bezradni, ponieważ nie mieli ze sobą broni, by śmiałka ukarać. Dusząc się z wściekłości, musieli patrzeć, jak nienawistny Litwin ich wodza uwoził.

W zamku radość i zdumienie granic nie miały, gdy na koniu zdyszonym i pianą okrytym, zjawił się Jasiński i pod nogi komendanta twierdzy rzucił swą zdobycz, w której poznano mistrza Krzyżaków, na wpół uduszonego, z twarzą wykrzywioną bólem, wstydem i wściekłością.

Korzystając z popłochu, jaki na wieść o porwaniu wodza w obozie krzyżackim przy kościele na Piaskach powstał, załoga wypadła z warowni i sporo wrogów uśmierciła.

Krzyżacy rozpoczęli rokowania, pragnąc wydostać mistrza z niewoli. Komendant twierdzy zażądał, aby Krzyżacy niezwłocznie Wilno i Litwę opuścili, oraz aby zwrócili jeńców i łup. Pod tym tylko warunkiem zgadzał się oddać im wodza. Ale wiedząc, iż szlachetni rycerze nie zwykli byli danego słowa dotrzymywać, zastrzegł, iż dopiero wtedy mistrza im odeśle, gdy już będą poza granicami Litwy. Musieli Krzyżacy przystać na te twarde warunki, obiecując sobie pomścić w przyszłości nieudaną wyprawę i na drugi dzień Wilno opuścili. Nie wiodło się im atoli, bo w puszczech już na nich czekali Żmudzini i prawie w pień całe wojsko wycięli, tak że tylko niedobitki do Prus wróciły, gdzie po jakimś czasie zjawił się również upokorzony wielki mistrz.

Gdy o bohaterskim czynie Jasińskiego doniesiono królowi, ten dał dzielnemu żołnierzowi szlachectwo, nadał herb Jastrzębiec i Górę Trzykrzyską z innymi siedmiu na Antokolu. Takim jest początek rodu litewskiego Jasińskich, którzy w późniejszych już czasach fundowali w katedrze Wileńskiej altarię, zapisując na nią owe góry, które i dziś do kapituły wileńskiej należą i są znane jako „Altaria Jasińskich”.

„DOWOJNA” LEGENDA HERBOWA

Polska miała dokuczliwego i niebezpiecznego sąsiada w Litwie pogańskiej. Litwini przez puszcze leśne i bagna sobie tylko znanymi drogami wdzierali się w granice Polski, palili wsie i miasteczka, rabowali dobytek, wyrzynali starców i dzieci i tysiące bezbronno ludu uprowadzali w niewolę.

Zanim wojsko polskie puściło się w pogoń za rabusiami, już po nich śladu nie było.

Podobną wyprawę na Polskę urządził w roku 1384 wielki książę litewski Jagiełło. Ten sam Jagiełło, który w trzy lata potem przyjął chrzest, poślubił Jadwigę i został królem polskim. Jagiełło w towarzystwie bojarów litewskich i kilku tysięcy zbrojnego ludu niespodzianie wpadł do Polski, splądrował ziemie mazowieckie, przeprawił się przez Wisłę, spalił wiele osad i miast, między innymi Opatów. Lud bezbronny i przerażony nie mógł stawić oporu dzielnym najeźdźcom, tym bardziej, że wojska polskie w tym czasie były w innym miejscu zajęte. Kto tylko mógł, uciekał za Wisłę.

Litwini dopuszczali się niesłychanych gwałtów i okrucieństw; zarzynali starców, z niektórych żywcem skórę zdierali, lub na pale wbijali, hańbili niewiasty, a niemowlęta w ogień płonących zagród wrzucali.

Rabując i niszcząc wszystko, doszli Litwini aż pod Wiślicz; stąd jednak zawrócili, po drodze napadli na Łysą Górę i zrabowali starożytny kościół i klasztor benedyktynów, słynący z bogactw.

W orszaku Jagiełły znajdował się możny bojar wileński Dowojna. Młody, urodziwy, wspaniałomyślny i szlachetny, niepodobny był do swoich towarzyszy i chociaż korzystał z łupu wojennego i brał jeńców, ale nie mordował niewinnych ludzi, nie dopuszczał się okrucieństw i nawet innych od nich powstrzymywał.

Temu to Dowojnie dostała się jako branka panna imieniem Helena, córka możnego rodu szlacheckiego herbu Abdank. Dowojna nie tylko nie nastawał na jej cnotę, nie tylko nie krzywdził, ale przeciwnie otoczył brankę jak najtroskliwszą opieką, dbał o jej wygodę, dogadzał we wszystkim i obchodził się jak z siostrą kochaną.

Gdy rabowano kościół i klasztor łysogórski Dowojna zabrał starożytny relikwiarz srebrny, zawierając część Drzewa Krzyża Świętego i włożył go do tobołu razem z innymi zrabowanymi kosztownościami.

Splądrowawszy i spustoszywszy znaczną część ziem polskiej, Jagiełło powrócił do Wilna z bogatym łupem i prowadząc ze sobą kilka tysięcy jeńców. Na spotkanie wielkiego księcia wybiegła na ulice miasta cała ludność i ze śpiewami, klaszcząc w dłonie, sławiła zwycięzców.

Ciekawi przyglądali się łupom, ale kto tylko dotknął tobołu przez Dowojnę przywiezionego, padał martwy, jak piorunem rażony. Dziwił się wielki książę, że tyle ludzi nagle pomarło, a będąc poganinem, przypisywał to czarom.

Gdy Dowojna opowiedział o tym, co się działo Helenie, ta wyznała, iż ukazał się jej w śnie posłaniec Boży – Anioł i powiedział, że Bóg zsyła śmierć na pogan, jako karę za nieposzanowanie Drzewa Krzyża Świętego. Dowojna powtórzył opowiadanie Heleny Jagielle, który rozkazał, by ta stawiała się przed nim z relikwiarzem. Obejrzawszy go z ciekawością i nie bez trwogi, wielki książę obdarzył pannę wolnością i polecił jej, by odwiozła relikwiarz do Polski i zwróciła go do kościoła, z którego był zabrany.

Helena uprosiła Dowojnę, by jej towarzyszył w podróży. Po przybyciu do Polski i po zwróceniu relikwiarza klasztorowi benedyktynów, podróżni odszukali rodziców Heleny, którzy nie posiadali się z radości, widząc córkę żywą i zdrową. Helena przedstawiła im Dowojnę i opowiedziawszy, jak wiele dał jej dowodów dobroci i wspaniałomyślności, przyznała się, iż pokochała młodego Litwina i chętnie go poślubi, jeżeli on zgodzi się zostać chrześcijaninem. Dowojna z radością przyjął propozycję, padł do nóg rodziców Heleny i poprosił ich o jej rękę.

Wkrótce odbył się chrzest Dowojny i jego ślub z Heleną. Nowożeniec otrzymał szlachectwo polskie i herb żony Abdank, do którego na pamiątkę cudu dodano krzyż. Nowy ten herb został nazwany Dębno.

KOŚCIÓŁ ŚW. ANNY

Mieszkał w Mińsku sławny mistrz mularski, podeszły już wiekiem Wojciech. Miał on córkę jedyną, Marię, poślubioną młodemu uczniowi swemu Janowi. Ten słysząc, że w krajach zachodnich są mistrze, co budują świątynie i pałace, o jakich nawet Wojciech wyobrażenia nie miał, postanowił udać się do obcych krajów i tam u sławnych mistrzów uczyć się budownictwa. Na nic się zdały odradzania Wojciecha, który upewniał zięcia, że nie nauczy się u cudzoziemców nic takiego, czego by on Wojciech nie mógł go nauczyć. Próżno błagała męża czule go kochająca Maria, by jej nie opuszczał. Jan nie dał się odwieść od powziętego zamiaru, nie zmiękł wobec próśb żony i poleciwszy ją opiece teścia, opuścił rodzinne strony. Zwiedził różne kraje, podziwiał wspaniałe, zadziwiające ogromem świątynie, i na ostatku przystał za ucznia i czeladnika do sławnego mistrza mularskiego u Krzyżaków, którego dzieła powszechny podziw budziły.

Przez kilka lat nic o Janie nie było słyhać.

Tymczasem w Wilnie żona wielkiego księcia, świątobliwa i dobra pani Anna postanowiła wzniesć ku chwale Bożej nowy kościół i szukała zdolnego budowniczego, ponieważ chciała, by kościół był piękny i okazały. Wskazano księżnej Wojciecha, jako najslawniejszego w kraju. Temu też Anna budowę świątyni powierzyła.

Wojciech z córką niebawem do Wilna się przeniósł i przystąpił do budowy. Założył fundamenty i zaczął wznosić ściany, które szybko rosły i już dosięgły paru sążni. Wojciech obiecywał, iż będzie to arcydzieło, które przewyższy wszystko, co dotychczas stworzył i był przekonany, że kościół ten wsławi jego imię na wieki.

Pewnego wieczora stary budowniczy siedział w swoim mieszkaniu, położonym w pobliżu rozpoczętej budowy i pilnie pracował nad planami, zaś Maria smutna, szła jakąś część ubrania, ocierając od czasu do czasu rąbkiem białego rękawa łzy napływające do oczu. Myślała goniła swego ukochanego Jana, o którego srodze się niepokoiła, nie mając żadnych wieści od roku przeszło, kiedy pielgrzym przyniósł jej pozdrowienie od męża i wiadomość, że jest zdrow, kocha ją, pracuje i uczy się gorliwie.

Gdy tak Wojciech w pracy, a Maria w dumaniach byli pogrążeni, dały się słyszeć szybkie kroki w podwórzu i stukanie do drzwi. Maria wstała, by je otworzyć i po chwili z głośnym, radosnym krzykiem padła w objęcia męża. Powstał z miejsca i sędziwy Wojciech, serdecznie zięcia witając. Gdy zdrożony podróżny pierwszy głód zaspokoił i Maria postawiła na stole kubki ze starym miodem litewskim, Jan rozpoczął opowiadanie o tym, gdzie bywał, co widział i czego się uczył u obcych. Wojciech drwiąco się uśmiechał i wreszcie rzekł:

– Zwiedziłeś dużo świata, wieleś widział i, jak wnoszę, nie marnowałeś czasu, tym lepiej tedy potrafisz ocenić arcydzieło, które ja rozpocząłem tworzyć, a przy którym te włoskie, galskie i krzyżackie budynki, wydadzą ci się lichymi szopami. Jutro pokażę ci plany i samą

budowę, która już się sporo posunęła. Przekonasz się, że Wojciech chociaż stary, więcej wart od twoich majstrów, nad którymi tak się unosisz!

Nazajutrz obaj udali się na budowę. Jan spodziewał się ujrzeć istotne arcydzieło, tym bardziej, że Wojciech nie przestawał przechwalać się i pysznić swoim dziełem. Tym większe było zdumienie Jana, gdy zobaczył ciężkie ściany, wyprowadzone na parę sążni ponad ziemią, bez żadnych ozdób i gzymsów. Drzwi łukowe były niezgrabne i nieodpowiednie do projektowanej całości. Nie umiał ukryć pomieszania i na natarczywe zapytania teścia, czy jest zachwycony, odrzekł łagodnie:

– Nie ojcze, nie tegom się spodziewał. Ja bym to inaczej zbudował. To, co widzę, jest za ciężkie, przygniata, nie pasuje i nie zgadza się jedno z drugim... Ja bym uczynił cacko lekkie, przejrzyste, moje gzymsy byłyby utkane z koronek, a wieżycy w niebo by strzelały.

Tu zaczął wykazywać braki, które w budowie postrzegał i marzyć, jak by on to wszystko inaczej wykonał. Wojciech zrazu osłupiał, ponieważ nie mógł pojąć, jak ktoś śmiał ganić to, co on za arcydzieło uważał. Słuchał zięcia ze ściągniętą siwą brwią i zaciśniętymi ustami, aż wybuchnął długo hamowanym gniewem.

– Ha, młokosie! Śmiesz ganić dzieło największego w kraju mistrza. Co ty w tym rozumiesz. Przewrócili ci w głowie krzyżacy partacze i zdaje ci się, żeś jest zdolny stworzyć coś lepszego niż Wojciech. Trzeba cię za taką zuchwałość na całe życie ukarać. Słuchaj! – tu ścisnął zięcia za ramię. – Oddaję ci tę budowę. Prowadź ją dalej według swego gustu, ale pamiętaj zarozumiałcze, że gdy wyprowadzisz koślawe ściany i krzywe słupy, gdy nie będziesz mógł poradzić sobie ze sklepieniem i na klęczkach błagać mnie będziesz o pomoc, stary Wojciech odepchnie cię i śmiać się będzie ze wstydu, jakiego się najesz i z niesławy, która na cię spadnie. Odchodzę! Nie ujrzycie mnie do tego czasu, aż dokończysz budowy.

Próżno Jan i przelekniona Maria zatrzymywali starca, próżno czułymi słowy błagali, by pozostał i dalej budowę kościoła prowadził; zraniony w swej pysze Wojciech nie chciał ich słuchać. Wyrwawszy się dzieciom, szybko się skrył w uliczce i wnet Wilno opuścił.

Musiał tedy Jan wziąć się do roboty. Oddał się pracy z młodzieńczym zapałem, rad, że może w cegle i kamieniu urzeczywistnić swe marzenie. Nie zburzył postawionych przez Wojciecha ścian, lecz na nich, jak na podstawie, zaczął wznosić łuki, wysmukłe, lekkie słupki i gzymsy, wreszcie uwieńczył budowę trzema ażurowymi wieżyczkami, które zdawały się ulatywać w niebo.

Więcej niż rok trwała budowa i przez cały ten czas stary Wojciech nie pokazał się ani razu i nie dał znaku życia, aż pewnego wieczora niespodziewany zjawił się w mieszkaniu dzieci. Byk bardzo zmieniony, postarzał się i zgarbił. Widocznie cios zadany jego pysze mocno go dręczył i bolał. Obojętnie powitał córkę i zięcia i, ledwo rzuciwszy okiem na kilkumiesięczną wnuczkę, którą mu Maria podniosła, usiadł ponuro przy stole i drwiącym głosem zapytał Jana:

– Cóż panie zięciu, słyszałem, żeś ukończył budowę kościoła. Przybywam, by go zobaczyć i ukarać cię za zarozumiałość. Wyobrażam sobie jak wygląda to arcydzieło. Prowadź mnie!

– Ojcze – rzekł Jan łagodnie, ujmując dłoń starca – teraz noc, trudno ci będzie cokolwiek dojrzeć. Jutro rano usuną rusztowania i wtedy przekonasz się, że twój zięć jest godnym ciebie.

– Prowadź mnie zaraz. Na niebie księżyc w pełni i dość jest jasno, by moje wprawne oko dojrzało wszystkie twe błędy. Idźmy!

Jan nie opierał się, wziął tylko płaszcz i latarnię i podążył za teściem. Maria, trawiona niepokojem, wzięwszy na ręce uspioną dziecinę, pośpieszyła za nimi. Księżyc skrył się za chmurą i było ciemno. Szli szybko w głębokim milczeniu. Na tle nieba czarnymi liniami zarysowały się kontury rusztowania. Wojciech z gorączkowym pośpiechem zaczął wstępować na nie, za nim w milczeniu szedł Jan. Maria zatrzymała się na placyku przed kościołem i z niepokojem śledziła dwie postacie, wspinające się coraz wyżej...

Księżyc wyjrzał zza chmury i łagodnym światłem oblał budowę, rusztowanie i dwóch ludzi wstępujących na nie. Wojciech słowa nie mówiąc, z wolna się posuwał, chwilami stawał i bacznie się murom przyglądał. Twarz jego coraz bardziej posępniała i bladła, a w oczach malowało się zdumienie i gniew dziki. Gdy weszli na szczyt rusztowania i przed ich oczami na jasnym tle nieba zarysowała się przezroczysta, jakby nie z cegły, lecz z lekkich pręcików złożona wieżyczka, stary mistrz zachwiał się i kuczowo uchwycił się słupa rusztowania. Był trupio blady, a jego oczy złowrogim blaskiem pały.

– Ha – syknął – stworzyłeś arcydzieło! Sławny Wojciech zakiem przed tobą. Chyba szatan pomagał ci w robocie. Niechże cię teraz ratuje!

Z tymi słowy z całej siły uderzył zięcia pięścią w piersi. Jan zachwiał się, rozkrzyżował ręce i runął z wysokości, ale padając uchwycił się za wystającą deskę i zawisł w powietrzu. Maria prawie nieprzytomna rzuciła się naprzód z krzykiem:

– Janie mój! Ojcze, cóżeś uczynił? Ratuj go na rany Chrystusowe! .

Ale Wojciech, oszalały z gniewu, podjął leżącą u stóp jego cegłę i cisnął ją w Jana. Ten upuścił deskę i z rozbitą głową padł u stóp Marii na kupę gruzu.

BISKUP TABOR I ŻEBRAK STUDZIENSKI

Od wczesnego ranka przed pałacem biskupim w Wilnie stały gromadki ludzi; jedni przychodzili, inni, zasięgnąwszy wiadomości, z wolna opuszczali plac z wyrazem smutku i żalu na twarzach. Pomimo licznie zebranego ludu, cisza tu panowała zupełna i nikt głośniejszym nie odezwał się słowem. Przed bramą stało na straży dwóch halabardników, którzy bronili wejścia do wnętrza. Gdy z pałacu spiesznym krokiem ze spuszczoną głową i z powagą na twarzy wychodził kapłan albo kleryk, stojący przed bramą mężczyźni i kobiety cisnęli się doń, by wiadomości zasięgnąć. Nad ranem rozeszła się po Wilnie wieść, że sędziwy i powszechnie czczony biskup wileński Wojciech Tabor, zmożony chorobą walczy ze śmiercią.

Komnaty pałacu biskupiego zapełniali prałaci, księża, panowie i przyjaciele umierającego. Od czasu do czasu przybywał posłaniec od króla Zygmunta, by zasięgnąć wiadomości o stanie zdrowia pasterza.

W południe biskup odbył spowiedź, przyjął przenajświętszy sakrament i, kazawszy się ubrać w habit zakonny, w miękkim, szerokim fotelu spokojnie oczekiwał śmierci.

Całe życie pasterza było nieprzerwanym pasmem ofiar i poświęceń. Dla siebie niczego nie potrzebował, wiodąc żywot surowy, ale gorliwie służył Kościołowi, Ojczyźnie i powierzonej sobie przez Chrystusa trzodzie. Żaden ubogi nie odszedł z pałacu biskupiego bez wspomoczenia, żaden cierpiący bez rady i słowa pociechy. A ilu wdowami się zaopiekował, ile sierot przygarnął i wychował, o tym Bóg tylko, sam biskup i jego kapelan wiedzieli. W sejmie zdanie Tabora zawsze było cenione i szanowane, a i królowie Aleksander i Zygmunt chętnie słuchali rady rozumnego i świętobliwego pasterza:

Największą jednak zasługą biskupa było otoczenie Wilna murem obronnym. Gród Giedyminowy, opasany tylko drewnianym parkanem, już nieraz srodze od wrogów ucierpiał. Pustoszyli go Krzyżacy, Tatarzy, wojska carów moskiewskich i sami książęta litewscy w czasie walk między sobą. Zamek królewski na Turzej Górze, opasany zewsząd Wilią i Wilenką, był prawie niezdobyty, ale miasto, nie mające murów, stało bezbronne, tym bardziej, że mieszkańcy nie zawsze byli zdolni skutecznie bronić swych siedzib.

Biskup Tabor, bolejąc nad klęskami, jakich Wilno tylekroć doznawało, postanowił zaradzić złu, zwłaszcza, że w tym czasie hordy tatarskie pustoszyły Litwę i Wilnu groziło niebezpieczeństwo. Przedstawił tedy królowi i magistratowi konieczność obwarowania miasta.

Wyjednał u króla rozkaz, aby każdy obywatel dzielnicę, w której ma posiadłość, murem obwiódł, za co na rok jeden był wolny od służby wojskowej i płacenia podatku. Gdy w roku następnym Tatarzy, spustoszywszy okolice Mińska i Słucka, zdawali się zmierzać ku Wilnu, przerażeni mieszczaństwo szybko i gorliwie wzięli się do roboty pod osobistym dozorem biskupa. Sędziwy pasterz na czele uroczystej procesji, w asystencji całego duchowieństwa obszedł miasto, poświęcając i odprawując modły w miejscach, gdzie miały stanąć bramy. Dla wszyst-

kich robotników zastawiono kosztem biskupa stoły z jadłem, po czym przystąpiono do pracy. Kilka tysięcy ludzi stanęło na wyznaczonych miejscach. Nie tylko mieszczanie, kobiety i dzieci, ale również szlachta, magnaci i księża nosili materiał budowlany. Każdy poczuwał się do obowiązku i pragnął bodaj choć jedną cegiełką przyczynić się do dzieła, toteż mury rosły z zadziwiającą szybkością. Ale skarb magistratu nie był na tyle zasobny, żeby tak kosztowne dzieło do końca mógł doprowadzić, co widząc biskup Tabor nie pożałował własnej szkatuły, oddając na prowadzenie budowy całkowity dochód z kilku majątności, dostarczając z własnych dóbr robotnika i pożywienie dla pracujących. Olbrzymie musiały to być wydatki, ale świątobliwy pasterz, powodowany skromnością, gdy mur już stanął, spalił wszystkie swe księgi rachunkowe, aby nikt nigdy nie dowiedział się, ile na to grosza wyłożył.

I znowu uroczysta procesja zwolna się posuwała wzdłuż nowo wzniesionych murów. Prowadził ją biskup Tabor pontyfikalnie przybrany w asystencji kapituły. Za nim szedł król Zygmunt w otoczeniu senatorów i magnatów litewskich. W procesji wzięły udział wszystkie duchowne zakony wileńskie, cechy z chorągwiami, wojsko i niezliczone tłumy odświętnie przybranego ludu. Domy upiękuszono kwieciami, z okien zwieszały się drogie kobierce i makaty. Dzwony ze wszystkich kościołów i uroczyste śpiewy wypełniały powietrze. Muzyka grała, strzelano z dział i rusznic. Od czasu do czasu wstrząsał powietrzem huk wielkiego działa Witoldowego, ustawionego około cerkwi Pationki, czyli Piatnickiej przy ulicy Wielkiej. Przygarbiony wiekiem biskup miał na twarzy wyraz szczęścia i radości. Gdy stawał przed każdą z pięciu bram, padał na twarz i ze łzami dziękował Bogu Najwyższemu, iż mu dzieła szczęśliwie dokonać pozwolił. Z pięciu bram dotąd przetrwała jedna tylko i zasłynęła w całym świecie chrześcijańskim. Jest to brama Miednicka, czyli Ostra z cudownym obrazem Najświętszej Panny.

Pracowity żywot biskupa zbliżał się ku końcowi. Pasterz spokojnie oczekiwał śmierci i żegnał się z otaczającymi go przyjaciółmi, księżmi i kapitułą, gdy do komnaty weszło poselstwo od króla i miasta z burmistrzem na czele.

Na widok umierającego dobrodzieja wszyscy padli na kolana, a burmistrz drżącymi ze wzruszenia słowy dziękował pasterzowi w imieniu króla i miasta za wszystkie dobrodziejstwa, jakie Wilnu świadczył, po czym prosił, by biskup pozwolił ku wiecznej o nim pamiętce, wznieść jego pomnik na murach, którymi dzięki jego staraniom miasto zostało opasane. Nie zgodził się na to wielki w swej skromności starzec i, dziękując za dobre chęci, rzekł:

– Najlepszym dla mnie pomnikiem będzie mur, który aby był trwałym, wy i wasi potomkowie brońcie go przed wrogiem i podtrzymujcie, by się w gruzy nie rozsypał. Proszę i żądam, aby temu, kto po moim zgonie pierwszy wejdzie do miasta przez Miednicką bramę, było wypłacone z mojej szkatuły 30 złotych...

Tejże nocy żałobne dzwony z wież wszystkich kościołów wileńskich obwieściły miastu, że biskup Wojciech Tabor umarł.

O wschodzie słońca, jak tylko otwarto bramy miejskie, pachołkowie, trzymający straż przy bramie Miednickiej, ujrzeli żebraka, który drogą wiodącą z Miednik włókł się na szczydłach do miasta. Gdy tylko wszedł pod sklepienie bramy, został ku wielkiemu swemu przerażeniu przez pachołków ujęty i do ratusza odstawiony. Tam jeden z rajców odczytał mu ostatnią wolę zmarłego biskupa i po spisaniu aktu wręczył 30 złotych.

Żebrakiem tym był szlachcic Marcin Studzieński. Ten, gdy mu przed laty kilku wskutek przeciągu sparaliżowało obie nogi, próżno szukał ratunku u rozmaitych lekarzy. Nie pomogli

mu również alchemicy, zamawiacze i szarlatani, do których się udawał. Kalectwo nie ustępowało, pomimo że przelecił znaczną część fortuny i z człowieka zamożnego stał się prawie ubogim. Zasłyszawszy, że w Oszmianie mieszka pewien ksiądz franciszkanin, sławny ze skutecznego leczenia rozmaitych chorób, Studzieński wyprzedził resztki tego, co jeszcze posiadał i pojechał do Oszmiany. Ale i tu czekał go bolesny zawód, ponieważ po kilku tygodniach kuracji zakonnik oświadczył mu, że sztuka lekarska nic na jego cierpienie nie poradzi i tylko cud uzdrowić go może. Postanowił tedy nieszczęśliwy kaleka jechać do Częstochowy i tam przed cudownym obrazem Bogarodzicy błagać o uzdrowienie. Wynajął wózek i wieczorem wyjechał z Oszmiany. W pół drogi do Wilna w lesie napadli go zbójcy, zabili woźnicę, a Studzieńskiego mocno potrubowali i, zabrawszy wszystkie, jakie posiadał pieniądze, porzucili go na drodze. W ten sposób Studzieński został żebrakiem i na szczydłach powłókł się do Wilna, nie przeczując, co go tu czeka.

Otrzymałszy tak niespodziewanie pieniądze, Studzieński powłókł się podziękować swemu dobroczyńcy i pomodlić się u jego zwłok.

W pałacu biskupim na niskim tapczanie, przykrytym czarnym sukniem spoczywał snem wiecznym biskup Tabor, przybrany w ornat i infulę.

Przy ołtarzu księża kolejno odprawiali msze święte, zaś tłumy płaczącego ludu, niczym fale przepływały przez komnatę żałobną.

Studzieński padł na kolana i gorąco się modlił, a gdy potem zbliżył się, by ucałować rękę zmarłego, zdało mu się, iż od złotych krzyży wyszytych na rękawiczkach biskupa, bije niezwykła jasność. Jednocześnie poczuł w całym ciele dziwne osłabienie, gorąco i jakby prąd przechodzący przez plecy i kończyny. Sądząc, że to duszne powietrze tak go osłabiło, wyszedł na ganek i tu usiadłszy, wnet zasnął.

Obudził go stojący na straży halabardnik, który zwymyślał biedaka i brutalnie ze schodów zepchnął, tak że Studzieński stoczył się na sam dół. Zerwał się przestraszony i, zapomniawszy szcudła, począł co tchu uciekać, jakby miał zdrowe nogi.

Doznawszy cudu uzdrowienia, Studzieński udał się do kapituły i tu spisano akt, do którego dołączono świadectwo księdza z Oszmiany o nieuleczalnej jego chorobie.

Studzieński zamieszkał na Litwie i za trzydzieści złotych, otrzymanych od biskupa, rozpoczął handel, a tak mu się we wszystkim wiodło, iż wkrótce z żebraka stał się zamożnym człowiekiem. Jego powodzenie było tak zadziwiające, że osoby, rozpoczynające jakiś interes, zapraszały Studzieńskiego do spółki, płacąc za sam tylko jego udział znaczne pieniądze, ponieważ było wiadomym, że każde przedsięwzięcie, do którego on należał, świetnie się rozwijało i przynosiło ogromne zyski.

Studzieński na pamiątkę doznanego cudu kazał odlać z czystego srebra wielką tablicę z opisaniem cudu i takową tablicę zawiesił w katedrze w kaplicy Wniebowzięcia. W XVII wieku w czasie najścia nieprzyjaciela kaplica została obrabowana i w liczbie innych kosztowności zginęła także wspomniana tablica.

OBRAZ TRÓJREKI ŚW. KAZIMIERZA

W katedrze wileńskiej, w kaplicy królewskiej św. Kazimierza pod jego trumną już na samym ołtarzu znajduje się dziwny obraz tego świętego z trzema rękami. Św. Kazimierz w mitrze książęcej i w pąsowej długiej szacie, w dwóch prawych rękach trzyma lilie, w lewej zaś – różaniec. Obraz jest bardzo stary, jak to widać z napisu pod srebrną szatą, który świadczy, że został odnowiony w roku 1594.

Do tego obrazu przywiązana jest następująca legenda. W Wilnie mieszkał malarz, który miał szczególną cześć dla królewicza, ponieważ przy grobie jego niejednokrotnie doznał łask. Gdy papież Leon X w roku 1521 zaliczył królewicza Kazimierza do rzędu błogosławionych, wtedy malarz ów powziął myśl namalowania jego wizerunku. Gdy obraz już był skończony, artysta uznał, że prawa ręka odchylona na stronę sprawia wrażenie nieestetyczne i jest za długa. Zakrył ją tedy farbą, a natomiast namalował inną, zgiętą w łokciu. Ale spod warstwy farby wystąpiła wyraźnie ręka uprzednio namalowana. Na nic się zdało kilkakrotne jej zamalowywanie – ręka wciąż występowała. Wtedy artysta zamalował rękę zgiętą w łokciu, ale i ta spod farby wystąpiła. Malarz, widząc w tym cud zaniechał zamiaru i taki trójrečný obraz ofiarował kościołowi katedralnemu.

Obraz pierwotnie zdobił trumnę św. Kazimierza w sklepie grobowym pod dawną kaplicą królewską, gdy zaś zwłoki świętego patrona Litwy przeniesiono do dzisiejszej kaplicy, obrazek umieszczono na ołtarzu pod srebrną trumną.

CIEŃ BARBARY

Dnia 8 maja 1551 roku w samo południe królowa Barbara, mdlejącymi rękami objawszy za szyję swego królewskiego małżonka i usta swe do ust jego przycisnąwszy, ostatnie tchnienie wydała.

Rozpacz Zygmunta Augusta granic nie miała. Jak przedtem nie odchodził od łoża chorej żony, tak teraz nie można go było oderwać od jej zwłok.

Król, spełniając wolę Barbary postanowił przewieźć jej ciało do Wilna i nie chciał by spoczywała w Krakowie, ponieważ Jej Królewskiej Mości tu niektórzy za żywota wdzięczni być nie chcieli, niechajże i po śmierci jej tu nigdy nie widzą, ani mają.

Długo trwała podróż żałobna. Król nie odstępując kolebki ze włokami, tuż za nią jechał konno, a jak tylko orszak żałobny zbliżył się do jakiego miasta albo wsi, Zygmunt August z konia zsiadał i szedł pieszo. Przed Wilnem na spotkanie wyszło duchowieństwo z biskupem na czele. Rozpłakały się dzwony żałobne z wież wszystkich kościołów. Tłumy ludu zajęły ulice miasta. Komnaty na zamku królewskim, katedra i cztery kościoły, w których odprawiano egzekwie, były obleczone kirem.

W wypełnionej ludem katedrze odbyło się żałobne nabożeństwo, po czym zwłoki Barbary złożono w podziemiu kaplicy królewskiej, obok trumny pierwszej żony Zygmunta Augusta, młodziutkiej Elżbiety.

Po pogrzebie ukochanej małżonki król był nieutulony w żalu, nic go nie zajmowało, całe dni spędzał w jej komnacie, rozpamiętując szczęśliwe chwile z nią przeżyte, jej piękność, słodycz, jej dobroć anielską. Otoczył się pozostałymi po Barbarze pamiątkami, jej sukniami, klejnotami, robótkami ręcznymi, odczytywał listy przez nią pisane, pełne miłości i przywiązania. Zygmunt August nie mógł pogodzić się z myślą, że na tym świecie już nie zobaczy swej najukochańszej, a że z wychowania i jako dziecko swej epoki był zabobonny i wierzył w możliwość wywoływania dusz zmarłych za pomocą czarów, zapragnął tedy ujrzeć choć cień drogiej małżonki.

Przywołano na dwór wszystkich znanych czarnoksiężników, ale żaden z nich nie podjął się spełnić żądania królewskiego.

Wreszcie stanął przed Zygmuntem Augustem mistrz nad mistrzami – Twardowski, i gdy mu król powiedział, czego żąda od niego, po krótkim namyśle rzekł:

– Miłościwy Panie, daną mi jest moc wywoływania z tamtego świata dusz zmarłych i mogę twe żądanie zaspokoić, ale w takim tylko razie, jeśli przyjmiesz warunki, które ci przedłożę. Oto, zastrzegam, Miłościwy Królu, abys na widok tego, co zdziałam mocą swej sztuki, pozostawał niewzruszonym na miejscu, gdyż w przeciwnym razie nie rękę za życie i duszę twoją.

Król, ożywiony nadzieją ujrzenia Barbary, przystał na wszystko.

Twardowski zażądał, aby mu dano w zamku dolnym mieszkanie i zostawiono kilka dni czasu dla poczynienia niezbędnych przygotowań.

Głośnego czarnoksiężnika umieszczono w baszcie od strony Wili. Na wyznaczony dzień i godzinę Zygmunt August sam bez asystencji przybył do Twardowskiego i został przez niego wprowadzony do komnaty, w której miało się spełnić życzenie jego.

Ściany niedużej izby sklepionej były okryte ciemnymi osłonami i jakimiś tajemniczymi hieroglifami. Przy jednej ścianie stały na dywanie cztery spore kadzielnice, a przed nimi w pewnej odległości fotel dla króla. Mrok panujący w izbie ledwie rozpraszały dwie świece woskowe w wielkich czarnych świecznikach.

W środku pokoju na stole okrytym czarnym ze srebrną frędzlą suknem leżała laska czarnoksiężnika, oraz wielka w skórę oprawna księga pergaminowa, zawierająca rozmaite zaklęcia i formuły wywoływania czarta i osób zmarłych.

Wzruszony Zygmunt August zajął miejsce w przygotowanym dla niego fotelu, zaś Twardowski, włożywszy na się długą o szerokich rękawach czarną szatę z białymi na niej znakami kabalistycznymi, zapalił w kadzielnicach kadzidło i rozwarłszy księgę, rozpoczął zaklęcia, wzywając ducha Barbary, by zstąpił na ziemię i ukazał się oczom swego małżonka.

Z kadzielnic zaczęły podnosić się kłęby białawego dymu. Nerwy króla wskutek trwożnego oczekiwania i tajemniczości otoczenia były w wysokim stopniu napięte; wpatrzony przed siebie zapomniał król o całym świecie.

I oto wśród obłoków kadzideł zarysowała się postać niewiasty i zaczęła przybierać coraz wyraźniejsze kształty, aż przed oczyma Zygmunta ukazała się Barbara. Biała, niemal przezroczysta stała z opuszczonymi rękami, łagodnym smutkiem znaczoną twarz miała zwróconą ku małżonkowi, a oczy jej miłośnie nań patrzyły.

Król, zapomniawszy obietnicy, z okrzykiem zerwał się z siedzenia i, wyciągnawszy przed siebie ramiona chciał się rzucić ku ukochanej, ale Twardowski powstrzymał go, a tymczasem widzenie rozwiało się.

Zygmunt August padł na fotel i zakrył twarz dłońmi, a głuche łkania wstrząsały jego pierśią.

DUCH ZYGMUNTA AUGUSTA

Król Zygmunt August po stracie ukochanej Barbary, był niepokieszony, opłakiwał ją i do końca życia nie zdjął żałobny. Nawet po śmierci duch jego odwiedzał miejsca, z którymi pamięć Barbary była związana. W ciągu kilku wieków, w pogodną noc letnią, gdy księżyc w pełni wschodził na horyzoncie i wysoko na niebie wypłynawszy, zalewał łagodnym światłem ulice uśpionego Wilna, srebrzył gachy świątyń i domów i iskrzył się w falach Wilii, wtedy na szczycie góry zamkowej ukazywała się postać króla Zygmunta Augusta. Stał on oparty o mur baszty i smętnym wzrokiem spoglądał na dół na miejsca, z którymi tyle łączyło go wspomnień i na miasto, które kochał i do którego rozkwitu i świetności tak bardzo się przyczynił.

Dawniej król niekiedy zstępował z góry, zwiedzał zamek dolny, niegdyś z przepychem przez siebie wzniesiony, a teraz chylący się ku upadkowi, szedł w ogrody Radziwiłłowskie, w których wyznał swą miłość Barbarze i posłyszał z jej ust, iż jest mu wzajemną, stawał przed pałacem, gdzie Barbara z matką mieszkała i długo mu się przyglądała, a potem wstępował do katedry i tu w kaplicy królewskiej długie chwile spędzał, z tą bowiem kaplicą związane były najbardziej radosne i bolesne wspomnienia. Tu w sklepie grobowym spoczęła pierwsza żona Zygmunta szesnastoletnia Elżbieta, tu w noc pamiętną kapłan pobłogosławił przed ołtarzem jego potajemny związek małżeński z Barbarą i tu w kilka lat potem złożył jej zwłoki.

Mijały lata, dziesiątki lat, a za każdym razem, gdy król stawał na górze w świetle księżycy, oblicze jego było coraz smutniejsze.

Czas i niedbałość ludzi niszczyły jedną po drugiej drogę sercu królewskiemu pamiętki, aż wreszcie nic nie pozostało z zamku dolnego i z pałacu Barbary, znikł ogród Radziwiłłowski, katedra zmieniła swój wygląd. Pozostała niezmienną tylko dawna kaplica królewska, ról Zygmunt August po stracie ukochanej ale już nie ma w niej zwłok Elżbiety i Barbary. Przeniesiono je do nowej kaplicy i nie wiadomo, co się z tymi szczątkami stało.

Po raz ostatni ukazał się król Zygmunt August na górze zamkowej przed stu laty. Stał z zalamanymi rękami, z głową zwieszoną, a z piersi jego wydobywały się ciężkie westchnienia. Stał długo, po czym zakrywszy oczy dłońmi, odszedł i już więcej nie wrócił, gdyż nie ma światłem ulice uśpionego Wilna, srebrzył dachy świątyń, już na co spoglądać.

KSIĘGA TWARDOWSKIEGO

Podanie o księdze czarownika Twardowskiego jest związane z murami Uniwersytetu Wileńskiego. Podał je ks. Naramowski, jezuita, według ks. Daniela Butwiłły S.I., późniejszego rektora Akademii Wileńskiej (1663 r.). Opowiadanie to, zasłyszane od ks. Butwiłły, zapisał jezuita Szpoł.

Znakomity czarnoksiężnik Twardowski posiadał wielką, pisaną na pergaminie i w skórę oprawną księgę, zawierającą rozmaite zaklęcia, czary oraz formuły wywoływania czarta i zmarłych osób.

Niezwykła ta księga dostała się królowi Zygmuntowi Augustowi, ten zaś zapisał ją testamentem razem ze swoim księgozbiorem bibliotece Wileńskiej Akademii Jezuickiej, która mieściła się przy dzisiejszej ulicy Uniwersyteckiej. Jezuita zamknęli niebezpieczną księgę w osobnej szafie i przykuli ją do ściany grubym łańcuchem żelaznym, a nikt do niej zaglądać nie miał odwagi.

Pewnego wieczora pomocnik prefekta biblioteki Daniel Butwiłł, ten sam, który później został rektorem Akademii, do późna pracował w bibliotece, w której oprócz niego nikogo więcej nie było.

Nagle ks. Butwiłł poczuł nieprzewycięzoną chęć zajrzenia do księgi Twardowskiego i przekonania się, co też ona w sobie zawiera. Po krótkim wahaniu otworzył szafę i rozwarł księgę, ale, jak tylko zaczął czytać, w bibliotece powstał hałas piekielny, dał się słyszeć skowyt, wycie, śmiech, jęki, brzęk łańcuchów i trzask ognia. Pokój napełnił się swądem siarki, pod sklepieniem zaczęły fruwać i bić o ściany nietoperze, po podłodze i stokach pełzać węże, jaszczurki i ropuchy, a zza szaf i z kątów okazywać się poczwary i straszidła.

Ks. Butwiłł zdjęty najwyższym przerażeniem, co prędzej zamknął księgę, uciekł do przyległej izby i drzwi za sobą zatrzasnął. Całą noc spędził bez snu, na modlitwie, drżąc ze strachu, a w bibliotece do świtu trwały hece diabelskie; ryk, pisk, hałasy i brzęk łańcuchów. Gdy nazajutrz rano ks. Butwiłł w towarzystwie kilku osób wszedł do biblioteki, panował w niej okropny nieład. Stoły i stołki były poprzewracane, na podłodze walały się książki i manuskrypty, powyrzucane z szaf. W powietrzu czuć jeszcze było swąd siarki. Księgi Twardowskiego nie było. Znikła ona, nie wiadomo jak i przez kogo porwana. Tylko kawał łańcucha, którym księga była przykuta, zwieszał się ze ściany.

Księga ta, zwana *Liber magnus* znalazła się potem w księżnicy Krakowskiej. Pewien żak słyszał, że kto by z niej czytał, temu diabeł się objawi i spełni rozkaz, jaki mu wyda czytający. Zakradł się więc pewnej nocy do biblioteki, otworzył księgę i zaczął czytać formuły czarnoksięskie. Wtem diabeł stanął przed nim w straszliwej postaci i zapytał, czego żąda. Żak, który się nastraszył niezmiernie, zamiast powiedzieć: chcę pieniędzy! – jak był sobie ułożył, rzekł:

– Chcę pietruszki!

Posłuszny rozkazowi diabeł, zaczął nosić pietruszkę drzwiami i oknami, ale szczęściem, kur zapiał, więc diabeł musiał zaprzestać roboty.

KACPER BEKIESZ

Jedna z gór wileńskich, położonych nad Wilenką nosi nazwę góry Bekieszowej, albo Bekieszówki od imienia sławnego wojaka Kacpra Bekiesza.

Podanie głosi, że Bekiesz odznaczał się niezwykłą odwagą i dokonywał szalonych czynów, na jakie nie śmieli się ważyć najwięksi śmiałkowie.

Otóż Bekiesz wobec licznych świadków wjeżdżał konno na stromą i piaszczystą górę i, odpocząwszy na jej szczycie, zjeżdżał tą samą drogą. Była to wycieczka karkołomna, toteż przyglądający się jej z brzegu Wilenki ludzie byli przekonani, że Bekieszowi pomaga nieczysta siła, tym bardziej, że był on odszczepieńcem.

Ale do czasu dzban wodę nosi.

Pewnego razu odważny ten wojownik, jak zwykle, szczęśliwie dostał się na górę, ale gdy nazad się spuszczał, koń się potknął i razem z jeźdźcem stoczył się z wysokości do Wilenki. Obaj zabili się na miejscu. Bekiesza pochowano na tejże górze, która odtąd nazwę Bekieszowej otrzymała, i na grobie jego postawiono pomnik.

Takim jest podanie o śmierci Bekiesza; nie jest ono jednak zgodne z prawdą.

Węgier Kacper Bekiesz, niegdyś rywal, a potem druż serdeczny króla Stefana Batorego, był dowódcą piechoty węgierskiej, słynął z męstwa i odznaczył się w kilku wyprawach wojennych. Umarł w Grodnie roku 1580. Ciało jego z rozkazu króla przywieziono do Wilna, a ponieważ Bekiesz należał do szkodliwej sekty antytrynitariuszy, a właściwie był ateuszem, bo nawet umierając, powiedział: „Nieba nie pragnę, piekła się nie boję”, przeto nie mógł być pogrzebany na żadnym cmentarzu chrześcijańskim. Król kazał pogrzebać jego ciało na wierzchołku góry piaszczystej nad Wilenką i nad, grobem postawił pomnik w kształcie wieżyczki z kopułką. Z czasem, wskutek osuwania się zbocza, wieżyczka znalazła się nad urwiskiem, aż w roku 1843 podczas burzy runęła.

Sława wojenna i śmierć Bekiesza zatarły się w pamięci ludu, natomiast powstało podanie o wieżyczce, postawionej na miejscu, gdzie niby zaskoczyła go śmierć.

FIGURA UKRZYŻOWANEGO ZBAWICIELA U ŚW. JANA

W ołtarzu kaplicy Bożego Ciała (ks. Ogińskich) w kościele św. Jana, wśród licznych wotów znajduje się staroświecka, sporych rozmiarów, rzeźbiona z drzewa figura Chrystusa na Krzyżu. Sprowadził ją w roku 1573 z Norymbergi i ofiarował kościołowi sławny Piotr Skarga.

O tej figurze istnieje następująca legenda:

W XVII wieku w czasie wielkiego postu zakrystian wedle przyjętego zwyczaju osłaniał krepą wszystkie znajdujące się w kościele krucyfiksy. Gdy tylko wszedł do kaplicy Bożego Ciała, poczuł dziwny niepokój. Przystawił jednak do ściany przy ołtarzu drabinkę i wstąpiwszy na nią, już miał osłonić figurę Chrystusa gazą fioletową, gdy wtem usłyszał głos, wychodzący jakby z ust Zbawiciela, by tego nie czynił. Jednocześnie wypadła mu z rąk zasłona i jakby wiatrem została uniesiona w koniec kaplicy.

Zakrystian pośpieszył do proboszcza, któremu opowiedział, co mu się wydarzyło, proboszcz zaś zawiadomił o tym biskupa. Odtąd ta jedna figura w kościele przez cały czas wielkiego postu pozostaje nie zasłonięta.

POTEPIENICY W KOŚCIELE ŚW. JANA

Pod kościołem św. Jana w Wilnie znajdują się obszerne sklepy i korytarze podziemne, które zajmują znaczną przestrzeń i ciągną się pod ulicą i przyległymi domami. Sklepy były przepełnione trumnami i szczątkami zwłok, grzebanych tu od kilku wieków.

W roku 1600 umarł zamożny mieszczanin wileński. Bliższa i dalsza rodzina przywdziała żałobę i urządziła wspaniały pogrzeb. Nieboszczyka, ubranego w czamarę ze sztametem i czapkę bogatą, złożono do trumny, wybitej wyciskaniem w kwiaty adamaszkim. Na palcach zmarłego błyszczały kosztowne pierścienie. Nawet izbę, w której ciało spoczywało, kirem całą wybito. W eksportacji wzięli udział: dominikanie, bernardyni, pleban świętojański i kapnicy w różnokolorowych kapach i w kapturach z otworami na oczy. Nie żałowano pieniędzy na podzwonne, rozdawano świece woskowe i jałmużnę. Kościół św. Jana był rzeświście oświetlony, a w kaplicy Zwiastowania Najświętszej Panny urządzono wspaniały katafalk. Były tu rozmaite ozdoby, kwiaty sztuczne, emblematy, aniołowie płaczący i inni, gaszący pochodnie życia, były urny i trupie głowy z piszczelami, była i śmierć z kosą, a wszystko to jaśniało od mnóstwa różnokolorowych lampek, oraz świec wielkich i małych w świecznikach i pajakach.

Wieczorem przeniesiono ciało z mieszkania do kościoła i pozostawiono na noc w kaplicy na katafalku. Klejnoty, których z nieboszczyka nie zdjęto, zwróciły na się uwagę kilku nawiedzających umarłego. Postanowili oni ukraść te kosztowności. W tym celu przytrzymali chłopaka, który miał tej nocy pilnować kościoła i na chwilę go opuścił i, grożąc mu śmiercią, zmusili, aby wrócił do kaplicy i zdjąwszy z palców nieboszczyka pierścienie, podał im je przez okno, przy którym mieli go oczekiwać. Nastraszony chłopak nie śmiał odmówić i wrócił do kościoła. Panował tu zmrok i cisza zupełna. Przed niektórymi tylko ołtarzami migotały słabym płomykiem wiszące lampy i rzucały niepewne błyski na twarze świętych na obrazach i odbijały się na kolumnach marmurowych, na załamaniach ram pozłacanych i lichtarzach. Sklepienia kościoła, nawy boczne i kaplice tonęły w zupełnym mroku.

Chłopak, jakkolwiek już nieraz nocował w kościele, tym razem doznawał dziwnej trwogi. Serce mu biło w piersi młotem, oglądał się trwożliwie i śpiesznie głowę odwracał, gdy spotkał się z oczami, patrzącymi nań z obrazu lub z pomnika. Wśród nocnej niczym niezamąconej ciszy, odgłos jego kroków echem rozlegał się po obszernej świątyni i zwiększał jego trwożę. Chłopiec wszedł do kaplicy Zwiastowania, oświetlonej jedną tylko, zwieszającą się przed ołtarzem srebrną lampą, której chwiejący się płomyk zdawał się ożywiać ustawione około katafalku figury aniołów, śmierci z kosą i samą trumną, przykrytą wiekiem.

Cichość, jaka tu panowała, była wprost przerażająca, toteż coraz większy strach chwycił za serce biednego chłopca. Chciał już opuścić kaplicę, ale myśl o zemście, jaka go za progiem kościoła czekała, skłoniła go do zdecydowania się na świętokradztwo. Drżąc ze strachu, wspiał się po stopniach katafalku, zdjął wieko z trumny, i ujął za skostniały i zimny pa-

lec umarłego, aby jak najprędzej pozdejmować pierścienie. Ale nieboszczyk zaszamotał się w trumnie, cofnął rękę, rozwarł szeroko oczy i wlepiwszy straszny wzrok w twarz chłopca, chwycił go za ubranie i zawołał wielkim głosem:

– Bracia potępieńcy, ratujcie mnie!

W tejże chwili cały kościół zatrząsł się, rozległ się huk straszliwy, ryk i hałas. Zaczęły pękać kamienie grobowe, rozłamywać się sarkofagi i z łoskotem otworzyły się drzwi, prowadzące do sklepów. Z piekielną wrzawą wstają z trumien umarli i napełniają kościół. Jedni, niedawno pogrzebani, byli przerażająco bladzi, z zapadłymi oczyma, inni już na wpół zgnili, wydawali smród obrzydliwy, a mięso i skóra zwieszała się na nich strzępami, ale najwięcej było kościotrupów, których nagie kości głucho przy poruszeniach stukały. Cały ten tłum potępieńców składał się z magnatów, senatorów, księży, rycerzy i bogatych mieszczan, nie brakło również kobiet i niemowląt.

Żłodzięje czatujący pod oknem, posłyszawszy ten hałas piekielny, puciekali. Chłopak na wpół przytomny z przerażenia, wyrwał się z rąk nieboszczyka i natrafiwszy przy kolumnie na wejście na schody, wpadł przez nie na chór, drzwi za sobą zatrzasnął i na zasuwę zamknął. Tu bez duszy prawie, ukrył się w jednej z ławek. Ale umarli gonili go. Dopadłszy drzwi zamkniętych, na których był wyrzeźbiony krzyż, cofnęli się i zaczęli znosić kamienie grobowe, ławki, trumny i, ustawiając jedne na drugim, wspinali się na chór. Chłopiec, nie czując się bezpiecznym w swoim schronieniu, wdrapał się na sam szczyt organów i stamtąd z zapartym w piersiach oddechem, z szeroko otwartymi ze strachu oczami śledził potępieńców, którzy wspinali się coraz wyżej i już sięgali chóru. Wtedy w największym przerażeniu przeżegnał się i zawołał:

– Jezus, Maria!

I oto z wysokości, na jaką się dostali, runęli potępieńcy na posadzkę kamienną razem z trumnami i kamieniami grobowymi. Niektóre szkielety rozsypały się, aż czaszki z głuchym łoskotem potoczyły się pod ściany. Po chwili jednak umarli podnieśli się i znowu zaczęli ustawiać trumny i wspinać się na nie. Ale chłopak miał już na potępieńców sposób. Modlił się, żegnał i wzywał imienia Jezusa i Marii, i za każdym razem nieboszczycy padali.

Zaczęło świtać i gdzieś daleko w mieście dało się słyszeć pianie koguta, bliżej odpowiedział mu inny. Mrok panujący w kościele począł powoli się rozpraszać. Leżące w nieładzie na posadzce ciała już nie powstały i chłopak był ocalony.

Gdy rano otwarto kościół, napełniał go nieznośny smród zgnilizny. Wchodzący ujrzeli na posadzce setki trupów i kości. Groby były porozwalane i stały otworem wejścia do sklepów, gdzie wszystkie trumny były próżne, za wyjątkiem kilku, w których spokojnie spali snem wiecznym oo. jezuici. Oni jedni tylko nie byli potępieni. Chłopca ledwie żywego znaleziono na chórze. Opowiedział o tym, co zaszło i niebawem zachorował na zapalenie mózgu, a po kilku dniach choroby umarł.

Kościół natychmiast zamknięto i przystąpiono do oczyszczenia z trupów, co trwało dwa tygodnie, takie ich było mnóstwo. Wszystkich nieboszczyków przewieziono za Rudnicką Bramę i tam za kościołem św. Stefana pochowano.

BOCIAN ŚW. KAZIMIERZA

W roku 1604 papież Klemens VIII zaliczył królewicza Kazimierza do rzędu świętych i przysłał bullę oraz chorągiew uwielbienia św. Kazimierza. Uroczystość kanonizacji odbyła się w Wilnie 10 maja 1604 roku. Bullę i chorągiew złożono w kościele św. Stefana za Bramą Rudnicką, skąd w uroczystej procesji przeniesiono je do katedry.

Miasto przybrało postać odświętną. Domy na celniejszych ulicach przybrano w rośliny i kwiaty, z okien zwieszały się flandryjskie makaty, tureckie i perskie kobierce. Na ulicach, którymi procesja kroczyła, wzniesiono cztery bramy triumfalne, ozdobione herbami, napisami oraz malowidłami treści religijnej lub alegorycznej. Wystrzałem armatnim oznajmiono początek procesji, w której wzięły udział: rycerstwo, bractwa pobożne i dobroczynne, magistrat, cechy rzemieślnicze z chorągwiami, wszystkie zakony duchowne i księża świeccy, uczniowie akademii jezuickiej z profesorami oraz niezliczone tłumy ludu. Przez cały czas trwania procesji grała muzyka, strzelano z dział i rusznic, a we wszystkich kościołach wileńskich bito we dzwony.

Procesja trwała osiem godzin i przez cały ten czas kanclerz wielki litewski Lew Sapieha przy pomocy dwóch diakonów dźwigał olbrzymią chorągiew uwielbienia św. Kazimierza.

Gdy procesja wyszła z kościoła św. Stefana i kroczyła ulicą Rudnicką, nagle na jasnym lazurze nieba ukazał się punkt, który zwrócił na się ogólną uwagę. Punkt ów zbliżał się i rósł, aż poznano w nim bociana, który spuściwszy się przed samą chorągwią uwielbienia św. Kazimierza nie spłoszony gęstymi wystrzałami z dział i rusznic, na chwilę przysiadł na jej wierzchołku, a potem z wolna leciał nad miastem, przed procesją, jakby wskazując drogę pochodu.

Dziwne to zjawisko tłumaczono wtedy, że, jak bocian wytępia gady i zmije, tak i w tym jego zjawieniu się w uroczystej chwili upatrywać należy przepowiednię bliskiego i niezawodnego wytępienia wszystkich herezji.

KUR KSIĘCIA RADZIWIŁŁA

Dzisiejszy gmach poczty naprzeciwko kościoła św. Jana w XVI wieku był własnością Radziwiłłów, książąt na Ołyce i Nieświeżu. Radziwiłłowie porzucili wyznanie katolickie i przyjęli naukę Kalwina, którego stali się gorliwymi adeptami. Szczególniej zasłynął w walce z katolicyzmem Mikołaj Radziwiłł Czarny, wojewoda wileński. Gnębił katolików, bezcześcił świątynie katolickie, napadał zbrojnie na kondukty pogrzebowe i nawet dla większego pohańbienia kościoła św. Jana, kazał u ścian jego składać kupy nawozu, a przed głównymi drzwiami wystawił szubienicę.

W pałacu swoim wojewoda urządził zbor, w którym odprawiano nabożeństwa kalwińskie.

Po śmierci wojewody pałac odziedziczyli czterej jego synowie, którzy, idąc w ślady ojca, nie szczędzili szykan katolikom.

Raz w Wielki Piątek, gdy cała ludność katolicka sucho pościła, umartwiała się i modliła się

u grobu Chrystusa w kościele św. Jana, Radziwiłłowie wyprawili w swym pałacu bankiet, sprosiwszy nań mnóstwo gości – współwyznawców.

Wina i miody lały się strumieniem, stoły uginały się od mięs i ciast rozmaitego rodzaju. Gwar, śmiechy i pieśni rozlegały się w obszernych komnatach, a gospodarze i goście wysadzali się w dowcipach i drwinach z obrzędów kościoła katolickiego i z przestrzegane go przez katolików postu.

Posługacze wnieśli i ustawili na stołach srebrne półmiski z pieczonym ptactwem. Były tu bażanty, paw z rozpuszczonym, mieniącym się barwami ogonem oraz kur w upierzeniu tak kunsztownie odtworzonym, iż sprawiał wrażenie żywego ptaka, toteż goście głośnymi okrzykami powitali to arcydzieło, sławiąc talent kuchmistrza, a księżę Mikołaj Radziwiłł, najstarszy syn wojewody, zawołał:

– Witamy cię, kapłonie! Wszak nie jesteś papistą i katolikiem, skoroś w wielki piątek zawitał na stół Radziwiłłów!

Ledwie to wyrzekł, gdy kur poruszył się na półmisku, stanął na nogach, zatrzepotał skrzydłami i podniósłszy głowę i rozwarłszy dziób – zapiał.

Przerażenie ogarnęło uczujących. Porwali się od stoków biesiadnych i w popłochu tłumnie do drzwi się rzucili.

Zdarzenie to wywarło na księciu Mikołaju tak silne wrażenie, iż niebawem nawrócił się. Za przykładem starszego poszli młodszy bracia: Jerzy, Albert i Stanisław Radziwiłłowie i z prześladowców kościoła stali się gorliwymi katolikami, a Jerzy nawet zasłynął jako biskup wileński, kardynał i kandydat do tronu papieskiego. Od jego to godności kardynalskiej pałac Radziwiłłowski odtąd zwał się „Kardynalią”.

SZWEDZI W WILNIE

Przy wylocie ulicy Zamkowej na plac Katedralny przegradzając ją, aż do roku 1838 stała brama zamkowa, przez którą niegdyś na podwórze zamku niższego się wchodziło. Na murze bramy aż do jej zburzenia widoczną byka od strony miasta na wysokości paru sążni od ziemi wielka brunatna plama, która pomimo bielienia wapnem, jakoby wciąż występowała. Plama miała dziwną formę, mianowicie przypominała sobą postać człowieka z rozkrzyżowanymi rękami i nieco zgiętymi nogami. Ta plama na bramie zamkowej dała powód do następującego podania.

W XVIII wieku Szwedzi dwakroć nawiedzili Wilno, mianowicie w latach 1702 i 1706. Podczas tego drugiego najścia pod wodzą pułkownika Dikiera dopuszczali się różnego rodzaju gwałtów i rabunku, wybierając z magistratu, kościołów i klasztorów olbrzymie kontrybucje, rabowali domy obywateli, obdzierali z szat obrazy, księżom, odchodzącym od ołtarza, wydzierali z rąk kielichy, a niektóre kościoły obrócili na koszary i stajnie. Mniemając, że gałka nad kopułą kaplicy św. Kazimierza jest złotą, strzelali do niej z okien nad bramą zamkową, zaś pułkownik Dikier przyglądał się przez lunetę i wtedy dopiero strzelanie przerwał, gdy się przekonał, że gałka jest tylko pozłacana.

Jeden z zuchwałych żołdaków wdarł się do kaplicy Ostrobramskiej, gdzie w ołtarzu wówczas, jak i dziś, znajdował się obraz słynący cudami Najświętszej Panny ze skrzyżowanymi na piersiach dłońmi. Obraz miał bogatą, srebrną, grubo złożoną i sadzoną drogimi kamieniami i perłami sukienkę. Wokoło jaśniały złote i srebrne wota, sznury pereł, topazów, krzyże, medale, pierścienie kosztowne i inne ofiary. Te bogactwa wzbudziły w Szwedzie chciwość, toteż nie zatrzymał się on przed spełnieniem świętokradztwa. Wszedł na ołtarz i zerwawszy zasłonę, którą obraz był zawieszony, usiłował zedrzeć szatę i klejnoty. Pomimo jednak największego wysiłku, nie tylko nie mógł zdjąć z obrazu sukienki, ale nawet nie był w stanie zerwać żadnego z luźnie zawieszonych wotów. Jakaś niewidzialna siła przytwierdzała je do obrazu. Zawiedziony w nadziei bogatego łupu i oszalały ze złości żołdak dobył miecza i ciał w twarz Najświętszej Pani, tak że w miejscu cięcia na świętym obliczu niebawem szrama wystąpiła i krwią nabiegła. Ale w tej samej chwili oddzieliła się od obrazu jedna ze skrzyżowanych na piersiach dłoni i z tak nadzwyczajną siłą świętokradcę pchnęła, że ten, wypadłszy oknem, leciał z rozkrzyżowanymi rękami ponad miastem, aż się rozbił o mur bramy zamkowej, pozostawiając po sobie na ścianie bramy krwawą plamę. Plamy tej w ciągu całego wieku niczym nie można było usunąć. Pomimo wielokrotnych naprowadzań farbą, pomimo tynku, plama zawsze występowała. Dziś jeszcze wśród pospólstwa jest rozpowszechnione mniemanie, że bramę zamkową zburzono właśnie dlatego, że nie było innego sposobu zniszczenia plamy.

Szwedzi, zajmawszy Wilno w roku 1702, obsadzili żołnierzami wszystkie pięć bram, w tej liczbie i Ostrą.

Żołdacy, zatarasowawszy ciężkie, z żelaza kute wrota, które na potężnych zawiasach od paru wieków zawieszono były, rozłożyli ogień pod sklepieniem bramy. Siedząc i leżąc przy ognisku, raczyli się winem i piwem, zrabowanym z piwnic klasztornych. Jedni śpiewali pieśni sprośne, inni zaczepiali pobożnych, którzy przychodzili, by się przed cudownym obrazem pomodlić, szydzili z nich i porywali dziewczęta w objęcia. Pragnących odprawić nabożeństwo w kaplicy, brutalnie odpędzali, naigrawając się z ich pobożności i z Najświętszej Panny.

Dnia 14 kwietnia w Wielką Sobotę rano czterech żołdaków szwedzkich grzało się u ogniska pod sklepieniem bramy i jak zwykle zachowywali się nieprzystojnie. Nagle zatrzęsły się ogromne i ciężkie wrota i zerwawszy się z zawiasów runęły na bluźnierców. Dwóch zabiły na miejscu, dwóch zaś innych okrutnie poraniły, tak że przewiezieni do szpitala za Wilią, wkrótce pomarli.

W dwa dni potem Antoni Nowowiejski, oboźny litewski, gorąco pomodliwszy się do Najświętszej Panny, z garstką żołnierzy wpadł z przedmieścia za Ostrą Bramą na ulicę, gdzie obozowali Szwedzi i, zanim się obejrzel, mnóstwo ich trupem położył, po czym cofnął się nie straciwszy ani jednego towarzysza.

Jako znak wdzięczności Nowowiejski zawiesił przy cudownym obrazie wotum srebrne, które dotąd tu się znajduje.

ŁAŃCUCH OFIARNY W OSTREJ BRAMIE

W Ostrej Bramie przy obrazie Najświętszej Panny wiszą łańcuchy, parę łokci długie o czworobocznych ogniwach, jakoby srebrne. Z łańcuchami związane jest następujące podanie.

Pewna wdowa mleczarka, mieszkająca na przedmieściu Wilna, przygarnęła chłopca sierotę, który nie miał ani rodziców, ani krewnych. Gdy chłopak podrósł, mleczarka uprosiła proboszcza Ostrobramskiego, by go wziął na posługi. Chłopiec był cichy, łagodny i posłuszny, więc ksiądz polubił go, nauczył czytać i pisać. Chodził on z księdzem do chorych, służył do mszy i spełniał rozmaite drobne posługi, a że był ładny, uprzejmy i usłużny, lubili go wszyscy i dawali po kilka i kilkanaście groszy, ale chłopak tych pieniędzy sobie nie brał, tylko oddawał opiekunce i zwykle u niej nocował.

Był on bardzo nabożnym, szczególnie czcił i uwielbiał Matkę Boską. Modląc się prosił Boga, by mu dał zostać wielkim człowiekiem.

Raz, podczas nieспорów w kościele Ostrobramskim w święto Opieki Matki Boskiej, chłopiec zasnął i niepostrzeżenie zsunął się pod kawkę, na której siedział. Nieszpory się skończyły, wszyscy opuścili kościół, który zamknięto i chłopak sam pozostał.

O samej północy weszło do kościoła dwóch przecudnej piękności aniołów w powiewnych szatach, mających u ramion duże śnieżnej białości skrzydła. W rękach mieli zapalone świece, od których bił blask, jak od słońca.

Gdy aniołowie obudzili uśpionego chłopaka, ten okrutnie się przestraszył, zaczął drżeć i płakać, ale rychło się uspokoił, widząc niebiańską słodycz i dobroć, malującą się na ich cudnych obliczach. Padł na kolana i złożył dłonie, jak do modlitwy. Aniołowie wzięli go za ręce i po schodach na górę do kaplicy zaprowadzili. Wszystkie drzwi, w miarę ich zbliżania się, same się otwierały bez szelestu. Gdy stanęli przed ołtarzem, rozsunęły się firanki, zasłaniające obraz, z którego patrzyła przepiękna, łagodnym smutkiemznaczona twarz Najświętszej Panny.

Wtedy jeden z aniołów rzekł do chłopca:

– Ponieważ ciągle błagałeś Matkę Boską, byś mógł zostać wielkim człowiekiem, więc Ona w nagrodę za to, żeś zawsze był uczciwym, dobrym i pobożnym, spełni twoją prośbę. Ale, ażeby być wielkim, trzeba, ażebyś przede wszystkim bogatym został.

Aniołowie otworzyli znajdującą się w kaplicy skarbone, pełną złotych monet i kazali chłopcu brać z niej tyle, ile unieść zdoła. W chłopcu jednak ozwała się wrodzona uczciwość.

– Nie! – rzekł – te pieniądze należą do Matki Boskiej i bez Jej pozwolenia ani jednej monety nie ruszę. Pozwólcie mi pomodlić się.

Ukląkł na stopniach ołtarza i wpatrzony w obraz, gorąco się modlił, a gdy potem drżącym z nieśmiałości głosem zapytał, czy istotnie może ze skarbu skorzystać, Najświętsza Panna z łagodnym uśmiechem skinęła głową na znak przyzwolenia. Dopiero wtedy chłopak napchał, gdzie mógł pieniędzy, do kieszeni, do cholew i gdzie indziej.

Aniołowie wyprowadzili go, a drzwi same się na rygle pozamykały, jak było przedtem.

Chłopiec poszedł do opiekunki, a gdy ta pytała, dlaczego tak późno wraca, powiedział jej, że musiał z księdzem do chorego w nocy chodzić.

Nad ranem położył pod poduszkę mleczarki kilka złotych monet, po czym pomodliwszy się, wyszedł niepostrzeżenie z domu i puścił się w drogę.

Zaszedł do Rygi i tam u pewnego bogatego kupca służył za chłopca. Ale kupiec był zły, nieuczciwy, oszukiwał ludzi i źle się obchodził ze służbą, toteż chłopak wkrótce porzucił go i dostał się do innego poczciwego i służył u niego cały rok. Złoto swoje zaszył do kapotki i tę bardzo starannie chował pod głową, gdy do snu się układał. Zwróciło to uwagę kupca, który zapytał, dlaczego tak pilnie chowa starą kapotkę. Chłopak, który służył bez pensji, odparł że dlatego, iż ma ją jedną tylko. Gdy jednak odpowiedź ta nie zaspokoila podejrzliwego kupca, wyznał mu całą prawdę i prosił, by kupiec przyjął pieniądze na lokatę, a za procent dał mu wychowanie.

Kupiec miał córkę jedynaczkę, w której chłopak rozkochał się i pozyskał jej wzajemność. Po skończeniu nauk ożenił się z nią i sprowadził opiekunkę, którą otoczył wygodami. Rozpoczął na własną rękę handel, a że byk sumiennym i uczciwym w interesach, pozyskał ogólne zaufanie i wkrótce dorobił się olbrzymiego funduszu.

W bogactwie nie zapomniał, komu, je zawdzięcza i co rok posyłał do Ostrej Bramy bogate ofiary, a między innymi ów łańcuch srebrny na pamiątkę, iż z poniżenia i więzów ubóstwa wyzwolony za łaską Najświętszej Panny, stał się bogatym i wielkim.

Według innego podania łańcuch srebrny przy obrazie Matki Boskiej Ostrobramskiej ma pochodzić z daru jakiegoś pana, chorego na wodną puchlinę, który ślubował, iż ofiaruje Najświętszej Pannie takiej długości łańcuch srebrny, jak sam był opuchły, a gdy wyzdrowiał dotrzymał ślubu.

HETMAN MICHAŁ PAC

Na Antokolu u stóp wzgórz malowniczych, gdzie za czasów pogańskich stała świątynia bogini miłości Mildy i gdzie Litwini w końcu czerwca odprawiali święto Lady, w roku 1666 znajdował się niewielki kościółek drewniany św. Piotra. Kościół był zrujnowany przez wojska moskiewskie w roku 1655, stał opuszczony, bez okien i bez drzwi i nabożeństwa w nim nie odprawiano.

Wojsko litewskie w Wilnie, nie otrzymując przez czas dłuższy żołdu, zaczęło się burzyć.

Michał Kazimierz Pac, hetman wielki litewski, wspólnie z Gosiewskim i Żeromskim byli wyznaczeni komisarzami dla obmyślenia żołdu zrewoltowanemu wojsku. •li ludzie wicherzyli i buntowali żołnierzy, aż wybuchł bunt. Żołnierze rzucili się naprzód na Gosiewskiego i rozsiekali go, potem wywlekli z kościoła św. Teresy przy Ostrej Bramie modlącego się sędziwego wodza Żeromskiego i zabili go czekaniem. Popelnivszy te dwa morderstwa, postanowili zgładzić także trzeciego komisarza – Paca.. Jakoż otoczyli i przetrząsali jego pałac antokolski, szukając hetmana, by z nim krwawą uczynić rozprawę. Tymczasem udało mu się wymknąć niepostrzeżenie i schronić do zrujnowanego kościółka. Tam padł krzyżem i modląc się gorąco, prosił Boga o poratowanie w niebezpieczeństwie. Wnet poczuł uspokojenie i wstąpiła weń otucha, toteż z wiarą, że Bóg go nie opuści i ocali, spokojnie czekał.

Jakoż na razie nikomu z żołdaków nie przyszło na myśl szukać hetmana w ruinach kościółka.

Upływała godzina za godziną. Do uszu hetmana dolatywały wrzaski żołnierzy, które to dawały się słyszeć tuż za ścianami kościółka, to się oddalały.

Wtem Pac postłyszał przy drzwiach szmer i, będąc przekonany, że to któryś z żołnierzy odkrył jego kryjóvkę, zaczął się modlić, gotując się na śmierć. Ktoś ostrożnie stapał, starając się nie sprawiać hałasu. W mroku zalegającym wewnątrz kościółka hetman rozeznał jakąś postać, zbliżającą się ku niemu i usłyszał szept:

– Panie, gdzie jesteś?

Ucieszył się Pac, poznawszy głos wiernego starego sługi.

– Uchodźmy panie, bo lada chwila wpadną tu żołnierze. Przetrzęsneli już pałac i teraz szukają cię w zaroślach.

Ujął dłoń swego pana i wyprowadził go na brzeg Wilii, gdzie już miał przygotowaną łódź. Szybko przepawili się na drugi brzeg rzeki i wkrótce znaleźli się w miejscu bezpiecznym.

Hetman Pac postanowił wybudować kościół na miejscu, gdzie tak cudownie uratowanym został. Jakoż stanął tu przepiękny, budzący podziw znawców i miłośników sztuki kościół św. Piotra i Pawła.

Inne podanie głosi, że pewnego razu hetman Pac, wyszedłszy ze swego pałacu, w pobliżu kościoła św. Piotra położonego, wstąpił do na wpół zrujnowanego i opuszczonego kościółka.

Tu wśród kupy gruzów i gratów ujrzał krucyfiks z figurą Chrystusa, którego ręce i nogi były połamane, a twarz miała dziwnie smutny wyraz. Widok ten sprawił na hetmanie bolesne wrażenie.

Podniósł z ziemi krucyfiks i, ze czcią ucałowawszy go, zabrał do swego pałacu. Wróciwszy do domu długo ze smutkiem rozmyślał. Teżże nocy i następnych miał Pac cztery razy jeden i ten sam sen, mianowicie ukazywał mu się Chrystus widziany w kościółku i obiecywał, że za litość, jaką mu hetman okazał, Bóg pomoże mu uśmierzyć zbuntowane wojsko litewskie i nad nieprzyjacioły wyniesie.

Pod wrażeniem tych snów powziął Pac myśl wzniesienia kościoła i niebawem do dzieła przystąpił. Nie żałując kosztów, sprowadził z Włoch znakomitych budowniczych, rzeźbiarzy i artystów-malarzy którzy stworzyli arcydzieło, jakim jest kościół śś. Piotra i Pawła.

ZOŁOTARENKO

Dnia 8 sierpnia 1655 roku rano, gdy lud modlił się w kościołach, wpadli do Wilna w liczbie 40 tysięcy Kozacy, stanowiący przednią straż wojsk cara moskiewskiego Aleksego. Dowodził Kozakami Zołotarenko, który słynął z dzikich okrucieństw, jakich się dopuszczał napadając na bezbronne wsie i miasteczka. Zrabowawszy, palił je, a ludność kazał w pień wycinać, a nie darowywał życia ani starcom, ani kobietom, ani nawet niemowlętom, które wbijano na lance, rozbijano ich głowy o mur, lub żywe w ogień wrzucano.

Gdy dzika tłuszcza kozacka z wyciem wpadła do Wilna, garstka mieszczan i robotników, uzbroiwszy się jako tako, próbowała stawić jej opór na placu ratuszowym, ale nie mogła podać przeważającej sile najeźdźców i została wymordowana.

Rozbiegli się po mieście Kozacy, rabując mienie mieszkańców, a ich samych mordując. Na próżno część ludności szukała schronienia w kościołach, gdyż wszyscy zostali wyrżnięci. Niektórych Zołotarenko poddawał strasznym mękom, żądając wyjawienia gdzie mają ukryte pieniądze i kosztowności. Obdzierał ludzi ze skóry, palił na wolnym ogniu nogi, wyłupywał oczy, słowem był niewyczerpany w pomysłach zadawania mąk.

W jednym tym dniu zginęło w Wilnie 20 tysięcy osób, po czym Kozacy spalili miasto. Pożar trwał cały miesiąc i z kwitnącego grodu pozostały tylko dymiące gruzy, tak że gdy przybył tu car Aleksy, *Wilna w Wilnie szukać trzeba było*.

Bóg nie przepuścił Zołotarence jego zbrodni. Został on zabity w bitwie pod Szklówem. Ciało jego przewieziono do Czehrynia i tam w cerkwi na katafalku wystawiono. Zebrało się sporo ludzi ciekawych zobaczyć strasznego Kozaka, ale wnet rozbiegli się przejęci strachem, ponieważ trup Zołotarenki to się podnosił w trumnie, to znowu opadał, twarz jego była strasznie wykrzywiona, zęby wyszczerzone, a z ust wychodziły jęki i westchnienia.

Nie dawano jednak wiary opowiadaniom świadków tego zjawiska, więc w dzień pogrzebu zbiegowisko było ogromne i niewielka cerkiew drewniana nie mogła wszystkich zmieścić.

Gdy czerńcy zaczęli odprawiać nabożeństwo żałobne, trup Zołotarenki podniósł do góry ręce, z których krew obficie płynęła i po trzykroć zawołał: Uciekajcie! Uciekajcie! Uciekajcie!

W strachu panicznym rzucili się do ucieczki popi, Kozacy i cały lud zebrany. Wtem cerkiew zapaliła się i ogień pożarł ciało Zołotarenki.

WIDMO NA CMENTARZU BAZYLIANÓW

Na początku XVII wieku, za czasów błogosławionego Jozafata Kuncewicza, który wtedy był archimandrytą klasztoru oo. bazylianów przy kościele św. Trójcy w Wilnie, zmarła w tym mieście pewna stara kobieta. Była to niewiasta złych obyczajów, wiodła życie gorszące, dawała z siebie zły przykład, sprowadziła z drogi cnoty niejedną uczciwą dziewczynę, niejedno małżeństwo poróżniła. Nie gardziła żadną bronią dla dopięcia nikczemnych celów. Obłuda, oszczerstwo, krzywoprzysięstwo, nawet trucizna i skrytobójstwo, wszystkie te środki uważała za godziwe, gdy szło o zdobycie pieniędzy, których potrzebowała na zbytkowne i rozwiązłe życie.

Uczucie litości było jej obce, nigdy nikogo nie wspomogła w biedzie i nawet szczuła psami ubogich, którzy zwracali się do niej o jałmużnę. Powszechna pogarda i nienawiść otaczały niegodziwą kobietę, toteż nikt jej nie żałował, gdy po pewnej nocy znaleziono ją w łóżku martwą. Dalecy krewni, którzy się zjechali na wieść o śmierci bogatej ciotki, podzielili się pozostałym po niej spadkiem, zaś ciało pogrzebali na cmentarzu przy kościele św. Trójcy.

Za życie gorszące grzesznica ta po śmierci gorzała w piekle, a ponieważ potępiency są zwykle niespokojni, więc i sąsiedztwo pogrzebanej starej kobiety było dla mieszkających obok klasztoru oo. bazylianów bardzo nieprzyjemne.

Z nastaniem nocy, gdy wszystko usypiało, na cmentarzu ukazywało się straszne widmo kobiety o potarganych włosach, o czerwonej, okropnie wykrzywionej twarzy i o pałających dzikim ogniem oczach. Potępiona miała skute ręce i nogi, a ciało jej gorzało płomieniem. Mara ta, jęcząc i potrząsając kajdanami, włóczyła się po cmentarzu dokoła kościoła i nawet przenikała do jego przedsionka.

Sąsiedzi spędzali nocę bez snu, drżąc z przerażenia, wreszcie udali się do błogosławionego Jozafata i błagali go, by wrócił im spokój i święte miejsce od upiora uwolnił.

Świątobliwy archimandryta w towarzystwie braciszka zakonnego udał się w noc do kościoła i tam gorliwie się modlił.

Gdy tylko na wieży ratuszowej wybiła północ, dał się słyszeć straszny rumor i hałas, dochodzący z zewnątrz świątyni, tak że przerażony braciszek przypadł do kolan kapłana, trzęsąc się ze strachu. Błogosławiony Jozafat wziął do jednej ręki puszkę z Przenajświętszym Sakramentem, a do drugiej zapaloną gromnicę i skierował się ku drzwiom kościelnym.

W tej chwili okropny wichur zatrząsł murami wielkiej i pustej świątyni, ze świstem wdarł się do jej wnętrza i zgasił wszystkie lampy, z wyjątkiem gromnicy, którą Jozafat w rękę trzymał. Rozwarły się podwoje i ukazała się straszna furia, płonąca płomieniem, jęcząca i brzękająca kajdanami. Z ust jej toczyła się krwawa piana, a oczy dziko obracały się w orbitach.

Jozafat, wezwawszy pomocy Boga, począł ją żegnać puszką i gromnicą i wielkim głosem rozkazał, by szła tam, skąd przyszła. Widmo rzucało się i wiło, ale święty wciąż je gonił i że-

gnał, aż zwinęło się i z jękiem zapadło się pod ziemię na cmentarzu. Miejsce to Jozafat laską naznaczył, po czym wrócił do kościoła i resztę nocy na modlitwie spędził.

Gdy tylko rozwidniało zwołał ludzi i kazał w tym miejscu kopać. Jakoż znaleziono trupa kobiety o okropnym wyglądzie. Był cały czerwony, o rozwartych oczach i wyszczerzonych zębach. Na rękach i nogach były głębokie ślady od kajdanów.

Błogosławiony Jozafat kazał zakopać trupa za miastem na pustym miejscu i na mogile ułożyć krzyż z kamieni.

Odtąd ustały strachy nocne i tylko pamięć o nich pozostała.

SKARB ZAKŁĘTY NA BAKSZCIE

Niegdyś na Bakszcie mieszkał we wspaniałym pałacu magnat tak bogaty, że sam nie wiedział dobrze, ile skarbów posiada. Komnaty pałacu i piwnice wypełnione były złotem, srebrem, klejnotami, drogimi sprzętami, dywanami, futrami, kosztowną bronią i naczyniami.

Bogacz ów miał córkę jedynaczkę, która słynęła z piękności, ale również znana była z dumy i nieuczynności. Pogardzała ona wszystkimi starającymi się o jej rękę, ponieważ uważała, że nie są jej godni. Z istot żyjących dumna panna lubiła tylko swego psa i oswojonego koguta i nigdy się z nimi nie rozłączała. Po śmierci ojca, panna zostawszy dziedziczką pałacu, obszernych włości i ogromnych bogactw, stała się jeszcze nieprzystępniejsza.

Pewnego wieczora na podwórzu pałacowe wszedł ubogi staruszek, który idąc ze stron dalekich i widząc pałac wspaniały, spodziewał się, że otrzyma tu posiłek i wsparcie. Spotkał go jednak zawód, bo oto otwarły się drzwi pałacu i olbrzymi pies rzucił się na starca, poszarpał na nim odzież i boleśnie ugryzł w nogę. Oglądając się za ratunkiem, żebrak ujrzał w oknie piękną pannę, która śmiała się i wcale o odwołaniu psa nie myślała. Oburzony takim brakiem serca, starzec zawołał: – Bodajbyś ze swoim pałacem pod ziemię się zapadła! Tejże nocy nad Wilnem szalała burza; czarne chmury skłębiły się nad miastem, lejąc potoki wody, wichry łamał drzewa i zrywał dachy, ogniste błyskawice co chwilę przerzynały chmury. Jeden z piorunów uderzył w pałac, który zapadł się pod ziemię, że ani śladu po nim nie zostało.

Wiele lat upłynęło od tego zdarzenia. Opowiadają ludzie, że nieraz w nocy słychać na Bakszcie pod ziemią płacz i jęki, szczekanie psa i pianie koguta.

Pewnego wieczora, młody człowiek, mieszkaniec Wilna, zażywając przechadzki, wstąpił na wzgórze baksztańskie, a będąc znużonym, położył się na trawie i usnął. Przez sen posłyszał dochodzące spod ziemi pianie koguta i skowyt psa; doszedł go również głos niewieści, błagający, aby wstąpił do lochów i pomodlił się za grzesznicę, skazaną, by strzegła skarbów, których za życia nie umiała używać. Modlitwą uwolni ją od kary, a sam posiadzie skarby, znajdujące się w podziemiu. Wybawca powinien był wziąć ze sobą wszystko, co do nabożeństwa potrzebnym być może, zaś rozpoczętą modlitwę miał koniecznie dokończyć. Jeśliby tego warunku nie dopełnił, cały układ ginie.

Nazajutrz młodzieniec, wzięwszy ze sobą książkę do nabożeństwa, krucyfiks, dwie świece woskowe z lichtarzami i wodę święconą, udał się na Baksztę i tu od razu znalazł wejście do podziemia.

Gdy zagłębił się w szeroki, sklepiony korytarz podziemny, ujrzał w oddaleniu słabe światło, które w miarę zbliżania się, stawało się coraz jaśniejsze, chociaż nie widać było źródła, z którego wychodziło. Przy ścianach stały wielkie kufry żelazne, a w nich worki ze złotem, beczki okute, napełnione brylantami, rubinami, szmaragdami i sznurami pereł, szkatułki z klejnotami, tuż stało mnóstwo przedziwnej roboty złotego i srebrnego naczynia, leżaka broń,

sadzona drogimi kamieniami, szczerozłote łańcuchy, bogate pasy i inne kosztowne przedmioty. Na straży tych skarbów nieprzebranych siedziała zaklęta dziewica niezwyklej urody. Ubrana w biel i nieruchoma, miała twarz i ręce zupełnie białe, jakby wykute z białego marmuru i robiła wrażenie posągu kamiennego.

Młodzieniec postawił na skrzyni krucyfiks, obok lichtarze z świecami, które zapalił, po czym pokropił na cztery strony wodą święconą i ukląkłszy, zaczął gorliwie się modlić. Gdy, mówiący Anioł Pański, rozpoczął długie psalmy pokutne, dziewica drgnęła, z piersi jej wydobyło się westchnienie, a lica jej zaczęły się zabarwiać, ożywiać i odmalowała się na nich radość! Już młodzieniec do połowy przeczytał psalmy, gdy raptownie, nie wiedząc skąd, wszczął się wiatr, a świece paląc się coraz szybciej spływać poczęły, tak, że płomień nie mógł już objąć zbyt długich knotów, które należało jak najprędzej obciąć, ale właśnie młodzieniec zapomniał zabrać szczypce. Zamiast objaśnić świece palcami, stracił głowę i przerwał modlitwę. W tej samej chwili świece zgasły, rozległ się w ciemności jęk bolesny i okrzyk rozpaczliwy: – Zgubioną jestem na zawsze!

Pies leżący u stóp dziewicy podniósł głowę i zawył żałośnie. Gdzieś w głębi podziemia dał się słyszeć śmiech szydery i echem odbił się w załamaniach lochu.

Ziemia się rozwarła i z głuchym brzękiem zaczęły w głąb jej zapadać kufry ze złotem, klejnoty i inne kosztowności. Gdy młodzieniec na nowo świece zapalił, nie ujrzał już ani skarbów, ani dziewicy, tylko w miejscu, na którym siedziała, zobaczył jakby niski zrąb studni, a w niej wodę krwawo zabarwioną. Nieznośny swąd nappełniał podziemie i zmusił młodzieńca do ucieczki.

DWÓCH PRZYJACIÓŁ

Dwóch przyjaciół, spędziwszy wesoło kilka godzin w gospodzie, wyszło na przechadzkę. Gdy znaleźli się w pustym miejscu około Czarciej Góry, spotkali dwóch nieznajomych uzbrojonych ludzi. A ponieważ ani oni, ani ci ludzie nie chcieli ustąpić z drogi, więc wszczęła się kłótnia, a następnie bójka. Dobyto mieczów i rąbano się zapamiętale. Jeden z przyjaciół ciął przeciwnika, który padł z rozplataną głową. Na hałas i szczęk oręża nadbiegli pełniący straż uzbrojeni pachołkowie miejscy, co widząc ten, który stał się zabójcą, zbiegł, korzystając z ciemności, zaś jego przyjaciel został pochwycony, odprowadzony do ratusza i nazajutrz przed sądem stawiony.

Próżno się zaklinał i przysięgał, iż jest niewinny zabójstwa, sąd skazał go na ścięcie głowy. Wyrok miano wykonać nazajutrz na placu ratuszowym.

Tej nocy prawdziwy zabójca nie mógł zasnąć. Dręczyły go wyrzuty sumienia, iż przelał krew ludzką i dopuścił do osądzenia na śmierć niewinnego przyjaciela swego. Nad ranem posłyszał głos, który mu nakazywał, aby szedł, wyznał swoją winę i ratował niewinnego. Zerwał się z posłania i przybiegł na miejsce stracenia w chwili, gdy kat czerwono ubrany brał miecz do ręki, by wyrok wykonać. Wielkim głosem zaczął wołać, by wyrok powstrzymano, gdyż on to właśnie jest winien zabójstwa.

Sprawę ponownie rozpatrzono, niewinnego uwolniono, a przestępcę nazajutrz ścięto.

NIEWINNIE OSĄDZONY

W roku 1737 rano zakrystian szedłszy do kościoła św. Michała z przerażeniem spostrzegł, iż kościół został okradziony. Złodziej dostał się w nocy do kościoła oknem i wykradł kosztowne kielichy, złotą różę, przyslaną Elżbiecie Sapieżynie przez papieża Klemensa VIII, sprzęt z ornatów perły i zabrał wiele innych rzeczy.

Powstał alarm, zbiegli się ludzie i rozpoczęto poszukiwania świętokradcy. Jakoż niedaleko kościoła, przy moście zarzecznym spostrzeżono śpiącego pod drzewem człowieka, a przy nim na ziemi ujrzano kilka pereł.

Był to młody człowiek, czeladnik szewski. Obudzony, przecierał oczy i długo nie mógł zrozumieć, czego od niego chciano i dlaczego obchodzą się z nim w sposób brutalny. Gdy jednak dowiedział się, o co go obwiniają i gdy mu pokazano znalezione przy nim perły, świadczące o jego winie, zaczął płakać i przysięgał na wszystko co ma świętego, iż jest niewinny. Opowiedział, że spędził noc w gospodzie na hulance z kilku kamratami i wracając do domu na Zarzecze, a będąc zupełnie pijanym, upadł i zasnął. W jaki sposób znalazły się przy nim perły, tego nie wie. Może złodziej dla zatarcia śladów umyślnie mu je podrzucił.

Domniemanego winowajcę odprowadzono do ratusza i osadzono w więzieniu. W parę dni potem stawiono go przed sądem, który pomimo łez i przysięg, iż nie jest winny zarzucanej mu zbrodni kradzieży, skazał go na śmierć przez powieszenie.

Na rynku przed ratuszem stale znajdowała się szubienica na wzniesieniu o kilku stopniach. W oznaczonym dniu niezmierny tłum wypełnił rynek. Niektórzy, chcąc lepiej widzieć, jak będą wieszac świętokradcę, wdrapali się na drzewa.

Halabardnicy przyprowadzili na miejsce kaźni winowajcę. Błady, zalany łzami, szedł chwiejnym krokiem, mając ręce skrępowane powrozem za plecami. Zbliżając się do rusztowania zaczął głośno odmawiać litanie do Matki Boskiej. Odmawiał ją wstępując na stopnie szubienicy i już stojąc pod nią. Wśród tysięcznego tłumu zalegającego rynek zapanowała taka cisza, że z najdalszych miejsc wyraźnie słyhać było słowa litanii. Niektórzy zdjęli z głów okrycia i na słowa nieszczęśliwego, zwrócone do Najświętszej Panny, odpowiadali: – Módl się za nami!

Kat czekał, oparty o szubienicę.

Gdy litania była skończona, kat zarzucił skazańcowi stryczek na szyję i pchnął go z wysokości, ale nieszczęśliwy zdołał jeszcze zawołać:

– Matko! okaż, że jesteś!

W tej samej chwili nowy i mocny sznur rozprysł się na części i skazany padł na ziemię.

Rozległy się wołania: – Cud! Puścić wolno! Nie karać!

Sąd, widząc w tym zdarzeniu rozkaz Boga, uwolnił biedaka od kary.

W parę dni potem u Żyda handlarza znaleziono sporo pereł i kawały stopionego złota. Wzięty na tortury Żyd wyznał, że perły, złotą różę i patynę, które przetopił, kupił od niejakiego Bartłomieja, stróża przy kościele św. Anny.

Pojmany Bartłomiej przyznał się, iż w nocy okradł kościół św. Michała i podrzucił kilka pereł śpiącemu przy moście czeladnikowi, pragnąc w ten sposób odwrócić od siebie podejrzenie; skradzione kosztowności sprzedał za bezcen kilku handlarzom.

Bartłomieja powieszono na rynku, ale przedtem palono mu dłonie ogniem.

Pociągnięto do odpowiedzialności wielu Żydów, których skazano na zwrot skradzionych przedmiotów, kosztu procesu i grzywnę na rzecz zrabowanego kościoła.

O KSIĘDZU ZBÓJCY

W roku 1572 mieszkał w Wilnie we własnej kamienicy pewien ksiądz, bardzo zamożny. O ile inni zacni kapłani cieszyli się ogólnym szacunkiem, ten ksiądz był przez wszystkich pogardzanym. Chciwy, nieludzki, pędził życie rozwiązłe. Zniszczył on powierzony sobie przez umierającego człowieka testament i zagarnął pieniądze jego sierot, które znalazły się w nędzy. Mówiono nawet, że miał na sumieniu zabójstwo, gdyż dowiedziawszy się na spowiedzi o dużych pieniądzach, posiadanych przez pewnego kupca, otruł go i pieniądze przywłaszczył.

Niegodziwy ksiądz nic sobie z tych zbrodni nie robił i nawet nie wahał się odprawiać nabożeństwo. Zdarzyło się, iż w dzień Bożego Ciała, ów ksiądz zbrodniarz, gdy w kościele katedralnym św. Stanisława miał ranną mszę, nagle zaczął robić pomyłki, zbladł strasznie, w głowie mu się mąciło, nie mógł odróżnić liter w mszale i zamiast jednych wyrazów wymawiał inne, słowem był jakby w stanie poprzedzającym ciężką chorobę.

W tym samym czasie przyszedł do kościoła niejaki Kłyszejko, który, chociaż katolik, był sługą heretyka. Kłyszejko był obdarzony nadzwyczajną siłą, wprawiającą ludzi w zdumienie: z łatwością łamał podkowy, a w walkach niejednego przeciwnika pokaleczył, bo nikt nie mógł mu podołać.

Kłyszejko od lat siedemnastu nie był u spowiedzi, a że przez ten czas wiele nagrzeszył, więc zapragnął w dzień Bożego Ciała pojednać się z Bogiem i w tym celu przyszedł rano do katedry. Nie wiadomo, co mu przeszkodziło spełnić swój zamiar, ale był na nabożeństwie i gorliwie się modlił.

Usłyszawszy księdza, śpiewającego słowa psalmu: *Grzechy moje skrepowwały mię, gdyby powrozy*, Kłyszejko padł na twarz, zaczął bić głową o kamienną posadzkę, głośno płakać, jęczeć i krzyczeć, tak, że pomimo oporu musiano go wyprowadzić z kościoła.

Zapytany o przyczynę płaczu, odpowiedział:

– Słowa psalmu przypomniały mi, że jestem grzesznikiem, zem nigdy nic dobrego nie uczynił, a za to mam na sumieniu dużo złych i niegodziwych postępów.

Wyszedłszy z kościoła, Kłyszejko przez dziedziniec zamkowy skierował się ku bramie, za którą był most na Wilence, wiodący na ulicę Zamkową, lecz, jak tylko wstąpił na most, posłyszał groźny głos: „Wracaj” i nagle ujrzał przed sobą diabła, zagradzającego mu drogę do miasta. Diabeł całkiem czarny miał postać karzelka i szerokie usta, z których wystawały kły. Wielkie okrągłe oczy świeciły blaskiem zielonawym. Ręką, uzbrojoną w pazury, wskazywał w stronę katedry i groźnie wołał: „Wracaj, wracaj!”

Kłyszejko przerażony, prawie nieprzytomny, zawrócił i, goniony przez diabła, począł uciekać, aż dopadł katedry. Tu w babinie wpadł na niegodziwego księdza, który właśnie po skończonej mszy wychodził z kościoła. Porwał go w objęcia i zaczął ścisnąć, a chcąc go ucałować zbliżył usta do twarzy księdza, ale zamiast pocałunku zaczął zębami gryźć mu policzki,

nos, wargi. Wyrwał się nieszczęśliwy i z krzykiem wpadł do katedry, w której pomimo rannej godziny było już sporo modlących się, ale za nim pędził Kłyszejko i dopadłszy go, silnym uderzeniem noża odrąbał mu palce, którymi świętokradztwo wznosił hostię, po czym znowu gryzł, szarpał i dusił, tak że obficie płynąca krew zboczyła twarze, ręce i ubranie zarówno ofiary, jak napastnika.

Rzucili się na pomoc obecni w kościele, ale próżno usiłowali wyrwać księdza z rąk szaleńca, który, obdarzony niezwykłą siłą, odtrącał wszystkich i dotąd szarpał swą ofiarę, aż ta ducha wyzionęła.

Wtedy Kłyszejko nagle się opamiętał i cichym, łagodnym głosem opowiedział, że wcale księdza nie znał, widział go po raz pierwszy, ale po spotkaniu na moście z diabłem, jakaś siła, jakiś głos wewnętrzny kazał mu zamordować księdza, ponieważ był on zbrodniarzem i świętokradcą.

Kłyszejko sam dobrowolnie poszedł do sędziego i żądał dla siebie kary śmierci za popełnioną zbrodnię. Jakoż ścięto go na rynku.

OSOBLIWE DZIECKO

Na Łukiszkach, przedmieściu Wilna, mieszkał ubogi stolarz z żoną i trojgiem małych dzieci. Cnotliwy, trzeźwy i pracowity pracował od rana do nocy, by wyżywić rodzinę, ale zarabiał mało, tyle tylko, aby żonie i dzieciom nie dać umrzeć z głodu. Toteż oczekiwane przyjscie na świat jeszcze jednego dziecka stawało się ciężarem za wielkim dla ubogiego rzemieślnika. Nie narzekał on jednak i nie szemrał, tylko jeszcze gorliwiej jął się pracy, skracając godziny snu i odpoczynku. Stolarzowa, patrząc na to, jak jej mąż zapracowuje się, srodze cierpiała, iż nie może mu dopomóc i płakała w ukryciu, by mąż nie widział.

Na wiosnę urodził się tęgi chłopak o niebieskich oczkach. Raz w nocy w parę dni po urodzeniu dziecka, stolarz wykańczał w przyległej izbie jakąś pilną robotę, żona zaś jego, jeszcze słaba, karmiła piersią nowo narodzone niemowlę. Bolesnie ścisnęło się serce biednej matki na myśl, że przybyła im jeszcze jedna istota, którą trzeba będzie żywić i odziewać. Gorące łzy spływały z oczu stolarzowej, wreszcie zaczęła się modlić do Najświętszej Panny i prosić, by ich nie opuszczała i nie dała zginąć. Wtem posłyszała głos, jakby z nieba wychodzący:

– Nie smuć się i ufaj. Bóg zsyła wam to dziecię na pociechę i ratunek.

W tej samej chwili dziecinka wypuściła pierś, którą ssała, podniosła główkę i z anielskim uśmiechem spojrzała w oczy matki, jakby potwierdzając tylko co posłyszane przez nią prośbę.

Stolarz, któremu żona opowiedziała o zdarzeniu, przypisał to złudzeniu spowodowanemu chorobliwym stanem położnicy.

Ale zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Nowo narodzony chłopiec, któremu na chrzcie dano imię Antoni, rósł i rozwijał się z zadziwiającą szybkością. W tydzień po przyjsciu na świat odrzucił spowijacze i siedział o własnej sile, w dwa tygodnie mógł już chodzić, zaczął mówić i szybko jeden po drugim, wyrzynały mu się ząbki. Było to dziwnie miłe i dobre dziecko, nie sprawiające rodzicom żadnego kłopotu.

Wieść o cudownym chłopcu szybko się po mieście i okolicach rozeszła, toteż przychodzili ludzie, by go zobaczyć i podziwiać. Kilku zamożnych obywateli, poznawszy stolarza, jego zacność i uczciwość i chcąc mu dopomóc, dawało robotę, za którą hojnie płaciło.

A chłopiec rósł i męźniał z dniem każdym. W 6. miesiącu życia wyglądał na 15-letniego dziarskiego chłopaka. Wyręczał ojca w robocie, a wykonywał ją tak pięknie i trwale, że stolarz nie mógł już nadażyć w wykonywaniu obstalunków, które zewsząd napływały i musiał przyjąć kilku czeladników.

W wolnych od pracy chwilach Antoś rzeźbił z drzewa figury, najwięcej świętych i malował je kolorami. I w tym wykazał niezwykły talent. Wykonane przezeń figury były przepiękne i sprawiały wrażenie żywych, toteż rozchwytywano je i płacono duże pieniądze.

W kościołach wileńskich ozdobą ołtarzów były wyrzeźbione przez Antosia figury Chrystusa Ukrzyżowanego i Matki Boskiej, dla której miał on szczególną cześć. Ale za te figury nie przyjmował zapłaty i ofiarowywał je kościołom.

W domu stolarza zakwitł dostatek. Nie tylko rozszerzył on znacznie pracownię, ale po kilku miesiącach uzbierał tyle pieniędzy, że mógł wybudować niewielki, ale wygodny dworek.

Stolarz i jego żona, patrząc na cudowne wzrastanie Antosia i na szczęście, które im ze sobą przyniósł, święcie wierzyli, że to Bóg ulitował się nad nimi i zesłał im to dziecię cudowne, toteż kochali je nad życie.

Jakoż Antoś zasługiwał na miłość. Rozumny, łagodny, skromny, pracowity, przywiązany do rodziców i rodzeństwa, miłosierny, litujący się nad każdym biedakiem i śpieszący z pomocą, był przez wszystkich kochany.

Nie miał jeszcze skończonego roku życia, a wyglądał na dwudziestoletniego młodzieńca. Był urodziwy, silnie zbudowany, zgrabny i zręczny, ale szczególnie pięknymi były jego oczy, pełne wyrazu i słodczy. Niejedna dziewczyna, spotkawszy się z jego wejrzeniem, rumieniła się, a serce jej żywiej bić zaczynało. Ale Antoś jakoś mało zwracał uwagi na zalotne spojrzenia dziewcząt. Nie czuł potrzeby kochania. Wystarczała mu miłość rodziców i rodzeństwa.

Minał rok i stolarz z biedaka stał się człowiekiem bogatym, starszym cechu i ławnikiem w magistracie. Za to w Antosiu zaczęły zachodzić nowe zmiany.

Ciało jego zaczęło stopniowo się zmniejszać, tak że po upływie pół roku sprawiał wrażenie chłopca dziesięcioletniego, a jeszcze po paru miesiącach nie różnił się od pięcioletnich dzieci. Przy końcu roku przestał chodzić i mówić i stał się niemowlęciem. W drugą rocznicę swych urodzin dziecina zasłabła nagle i skonała na rękach zrozpaczonej matki. Snadź spełniła przeznaczone jej od Boga zadanie i już nie była potrzebna.

Ksiądz Naramowski przytacza nieco inną wersję tego podania. W roku 1671 urodził się w Wilnie chłopiec normalny, lecz po roku zaczął olbrzymio rosnąć (*in molem ecrescere giganteam coepit*) i stał się monstrum. Gdy upłynął rok chłopiec zaczął zmniejszać się, tak że w niczym już od innych dzieci się nie różnił.

SKĄPA BABA

Na przedmieściu Wilna mieszkała baba strasznie skąpa. Gdy jaki ubogi prosił ją chociażby o kawałek chleba, nie tylko nic nie dała, ale jeszcze wpadała w złość, wymyślała od ostatnich słów, a nieraz i psem poszczuła. Miała owa baba syna, który wcale do matki podobnym nie był. O ile ona była złą i czerstwego serca, o tyle syn jej litował się nad ubogimi nieraz po kryjomu oddawał im swoje jedzenie.

Raz gdy baba pielila w ogrodzie warzywnym, zbliżył się staruszek żebrak, siwiuteńki jak gołąb i prosił o jałmużnę. Baba, swoim zwyczajem zaczęła krzyczeć, nieprzystojnie wymyślać i grozić, ale żebrak znosił wszystko w pokorze, kłaniał się i powtarzał swą prośbę, aż zniecierpliwiona baba ze złością rzuciła mu główkę cebuli ze szczypior.

Po niejakiem czasie ta kobieta umarła i po śmierci gorzała w piekle. Syn jej, który miał łaskę u Boga, błagał Go o wybawienie matki od mąk piekielnych. Pan Bóg zgodził się, ale zastrzegł, że syn wydostanie ją z piekła podając jej szczypior.

Przyszedł on tedy nad brzeg piekła, nachylił się nad przepaścią, wyciągnął rękę i powiedział matce, aby za szczypior uchwyciła i mocno go trzymała, zaczął ciągnąć ją w górę.

Widząc to inne dusze pokutujące uczepliły się baby, chcąc z nią razem wydostać się z płomieni piekła. Ale baba, jak za życia byka złą i zazdrosną, taką i po śmierci pozostała, więc dalejże otrząsać z siebie przyczepione dusze i kopać je nogami. Próżno prosił ją syn i ostrzegał, by zachowywała się spokojnie, baba głucha na jego błagania, dotąd się rzucała i szarpała, aż szczypior się urwał i zła kobieta poleciała na samo dno piekła i na zawsze tam pozostała, ku wielkiej diabłów radości. Dusze zaś, które były bliżej brzegu, wylazły na górę i opuściły piekło.

KAMIENIE NA ŚNIPISZKACH

W ogrodach z prawej strony ulicy Wiłkomierskiej do niedawna można było oglądać gromadę wielkich kamieni, mających dziwne kształty, przypominające postacie ludzkie.

Kamienie te leżą w okrąg; jedne z nich podobne do stojących, lub siedzących mężczyzn i kobiet, w innych można się dopatrzeć podobieństwa do leżących postaci. W środku stoi głaz, jakby skamieniała w uścisku miłosnym postacie kobiety i mężczyzny.

Do tych kamieni przywiązane jest następujące podanie.

W pogodny dzień letni w kościele św. Rafała odbył się ślub młodego rzemieślnika z córką mieszczanina. Zaproszone na wesele liczne grono gości zaczęło ucztować już przed ślubem. Raczone się wódką i piwem, śpiewano i puszczano się w tany przy dźwiękach skrzypiec, toteż gdy wyruszono do kościoła, wszyscy, nie wyłączając młodej pary, byli mocno podhumorzeni. Podczas obrzędu ślubnego zebrani w kościele zachowywali się nieprzystojnie i, nie zważając na świętość miejsca, czynili głośnie uwagi, drwili z obrzędu i ze staruszka księdza, który ślub dawał. Państwo młodzi oglądali się, zamieniali z druźbami i drużkami półsłówka i uśmiechy i nic sobie z ważności chwili nie robili. Nie dość tego, pan młody, pocałowawszy podany mu przez księdza krucyfiks, siarczyście splunął na stronę, co wywołało ogólny śmiech.

Oburzony takim świętokradztwem sędziwy kapłan, surowo zgromił zebranych i rzekł:

– Oby was Bóg nie ukarał!

Gdy to wyrzekł, wszystkie świece na ołtarzu zgasty.

Z hałasem i śmiechem orszak ślubny opuścił kościół i podążył ulicą Wiłkomierską na ucztę weselną do domu rodziców panny młodej.

Przodem szli grajkowie, wygrywający na skrzypcach skoczne melodie, za nimi, otaczając młodą parę, kroczyły dziewczosłęby, przytupując i wyśpiewując nie zawsze przyzwoite piosenki.

Wyśmiewano się z księdza i jego groźby, a pan młody zawołał:

– Ciekawym, jak to Pan Bóg ma nas ukarać?

Zaledwie wyrzekł te słowa bluźniercze, gdy na pogodnym niebie ukazała się kula ognista, która leciała z szaloną szybkością, aż wreszcie padła tuż przed orszakiem i rozprysła się na setki odłamków. Podniósł się tuman kurzu i zakrył sobą orszak weselny. Gdy kurz opadł, oczom przerażonych niezwykłym zjawiskiem przechodniów przedstawił się dziwny widok, który przejął ich zgrozą. Zamiast rozbawionych gości ujrzeli gromadę kamieni. Młoda para nowożeńców skamieniała we wzajemnym uścisku.

WICZA ŁAPA

Miejscowość w południowej stronie Wilna w bliskości Ponar przy kolei warszawskiej położona nosi dziwną nazwę Wilczej Łapy. Tu, przy drodze pomiędzy szpitalem kolejowym, a plantem kolei żelaznej znajduje się znacznych rozmiarów kamień, na którym znać parę odcisków, jakby łap zwierzęcych. Do tego kamienia, od którego miejscowość nazwę swą otrzymała, przywiązane są następujące podania.

Diabeł, przez władcę piekieł na ziemię na połów dusz ludzkich wysłany, błąkał się w okolicy Wilna, aż znużony usiadł na wielkim kamieniu. Ponieważ udało mu się sprowadzić z drogi cnoty pewną liczbę ludzi i pozyskać ich dla piekła, zaczął się pysznić i uragać Stwórcy, twierdząc, iż jest od Niego potężniejszym i mocniejszym. Usłyszał to Pan Bóg i zesłał anioła, który rzekł do diabła:

– Ano pokaż swą moc i siłę i zmiażdż na proch kamień, na którym siedzisz.

Diabeł pewny swej siły, zeskoczył z kamienia i wparł się weń łapą – a miał on łapy wilcze. Próżno jednak wysilał się i napręzał usiłując skruszyć kamień, aż ozor z pyska wywiesił, ślepia mu z wielkiego natężenia na łeb wylazły i krwią nabiegły, a pot smrodliwy pokrył cielsko. Twardy głaz nie poddał się, tylko łapa nieco w niego się zagłębiła i pozostawiła odcisk.

Zawstydził się bies, zafrasował i podkurczywszy ogon, jak niepyszny powłókł się do piekła.

Według innego podania, diabeł zobaczył pasącą się młodą kozę, a że był głodny, postanowił złapać ją i pożreć. Zamienił się tedy w wilka i rzucił się ku kozie, która zaczęła umykać. Na drodze leżał wielki kamień, którego koza nie mogła ominąć. Skorzystał z tego diabeł, zaczarował kamień i rozmiękczył, przypuszczając, że gdy gonione zwierzę wpadnie na miękki, jak ciasto głaz, ugrzęźnie w nim i da się schwytać. Ale omylił się w rachubie, bo lekka i zwinna koza jednym susem przesadziła kamień. Tylko tylną łapką dotknęła jego powierzchni, pozostawiając na niej odcisk kopytka.

Wpadł też na kamień, goniący kozę diabeł i również odcisnął na nim ślad wilczej łapy. Tymczasem koza zdołała umknąć, a diabeł pozostał z niczym.

STATUA CHRYSTUSA NA ŚNIPISZKACH

Wraz za Zielonym Mostem znajduje się niewielki pagórek sypany, na którym wznosi się czworokątny słup murowany z altaną, przykrytą daszkiem, wieńczonym krzyżem. W altanie znajduje się statua Chrystusa w postaci nieco pochylonej, dźwigającego na ramieniu krzyż wielki.

Według podania wzgórze to ma być wspólną mogiłą poległych w bitwie pod Wilnem Krzyżaków. W rzeczywistości zaś za dawnych czasów na wzgórzu istniała mała warownia drewniana, broniąca przeprawy przez Wilię. Podczas wojen w XVII wieku warownia uległa zniszczeniu. Wtedy jeden z obywateli śnipiskich umieścił tu na słupie murowanym drewnianą figurę św. Jana Nepomucena, która, stojąc nieprzykryta i wystawiona na deszcz i śnieg z czasem zgniła, a słup w gruzy się rozsypał.

Gdy w roku 1703 stanął kościół św. Rafała, jezuici w kilka lat potem wymurowali na wzgórzu większy słup z altaną, aby zabezpieczyć nową statuetkę św. Jana Nepomucena, którą przełożony jezuitów polecił wyrzeźbić z drzewa i pomalować znanemu w Wilnie rzeźbiarzowi Janowi, za co była umówiona zapłata ośmiu talarów bitych.

Legenda tak opiewa powstanie figury Pana Jezusa. Snycerz Jan z rodziną, składającą się z żony i trojga dzieci, mieszkał przy ulicy Kalwaryjskiej we własnym dworku, przy którym znajdowała się jego pracownia.

Otrzymałszy od przełożonego oo. jezuitów zamówienie na figurę św. Jana Nepomucena, artysta od razu nie mógł jej wykonać, ponieważ musiał na dłuższy czas wyjechać. Wróciwszy z podróży, już miał przystąpić do roboty, gdy w roku 1710 wybuchło w Wilnie morowe powietrze, najstraszniejsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek nawiedziły miasto.

Poprzedził je głód okropny, który opisał świadek naoczny Załuski. *U nas – pisze on – nędza, jakiej ani widzieć, ani czytać o podobnej w historii nie zdarzyło się... w miesiącu lipcu jeden Rochiła z towarzystwem podjął się grzebać umarłych i już od lipca (1709) do Wielkiej Soboty (1710) włącznie zapisał pogrzebionych 22862... Kiedy konia zdechłego znajdą, albo kiedy gdzie padnie tłumnie się zbiegają, rozrywają go, chwytają, pożerają. Psy, koty, gdzie znajdą, za przysmak chwytają. Niektórzy biegną po wsiach, zapalają obory i przywiązane bydło opalone tak pożerają. Pod Wilnem mąż z żoną zabili naprzód najmniejszego syna, potem drugiego siedmioletniego prawie, ugotowali i zjedli. Inni trupy jedzą.*

Z powodu okropnego głodu lud wiejski masami rzucił się do Wilna i, napelniając ulice, rozpaczliwie wołał chleba i umierał tysiącami. Stosy trupów zawały ulice, rynki i podwórza. W samym Wilnie umarło wtedy 30 tysięcy chrześcijan i 3700 żydów. Straszny obraz przedstawiało miasto, przepelnione tłumami ludzi wyjących z głodu i w okropnych mękach konających na ulicach. Epidemia i głód spustoszyły Wilno tak, że w wielu kamienicach nie pozostało ani żywej duszy. Takich domów obawiano się i przez lat 40 stały one pustkami.

Kto tylko mógł, uciekał z zarażonego miasta.

Zamierzał uczynić to i Jan, pragnąc ratować siebie i rodzinę od strasznej zarazy, gdy pewnej nocy we śnie, czy na jawie (tego snycerz nie mógł z pewnością powiedzieć) ukazał mu się Chrystus w szacie czerwonej, dźwigający krzyż i rzekł do niego:

– Janie, sporządzaj rychło statwę z tego kłoca drzewa, ale taką, a nie inną, jak mię tu widzisz. Ani ciebie, ani domu twego żadna zaraza nie dotknie, gdy mnie usłuchasz. Pamiętaj!

Snycerz zaniechał zamiaru opuszczenia Wilna, niebawem przystąpił do roboty i po roku pracy wyrzeźbił statwę Zbawiciela, krzyż dźwigającego.

Przez cały czas trwania zarazy nikt w domu jego nie zachorował, chociaż dokoła ludzie marli setkami.

Gdy epidemia ustała i oo. jezuici do Wilna wrócili, prosił Jan, by przyjęli wyrzeźbioną przez niego figurę i ustawili w altanie na słupie. Zgadzał się nawet na mniejszą zapłatę, ale spotkał się z odmową, ponieważ słup był przeznaczony na umieszczenie na nim figury św. Jana Nepomucena.

Niedługo potem jednemu z zakonników, wielce w zgromadzeniu poważanemu starcowi, objawił się Chrystus i żądał, ażeby przyjęto figurę od snycerza. Staruszek udał się do księdza ekonomy Sempieńskiego, który zaprowadził go do przełożonego ks. Ptaka. Ten, wysłuchawszy opowiadania o objawieniu i widząc wzruszenie starca, kazał statwę przyjąć i snycerzowi według umowy zapłacić. Ponieważ jednak ks. Ptak nie czuł się w prawie umieszczać figurę na słupie bez pozwolenia zwierzchności swojej, więc postawiono statwę w składzie rzeczy kościelnych.

Upłynął prawie rok, gdy pewnego dnia brat zakonny Antoni Rychter, krzątając się w składzie posłyszał głos:

□ Dopókiż mnie więzić □ będziecie w tej jaskini?

Zrozumiał braciszek, że głos ten z ust figury Pana Jezusa wychodzi, ponieważ w składzie nikogo, prócz niego samego, nie było. Przerażony rzucił się do przełożonego, któremu opowiedział o zdarzeniu.

To wpłynęło na zdecydowanie się na ustawienie figury w altanie na słupie, co nastąpiło z wielką uroczystością dnia 9 maja 1720 roku.

W domu Czerwińskiej na rogu ul. Wileńskiej i Trockiej stróżem był niejaki Mateusz Pokułowicz, liczący lat 57, który od kilku lat na oczy był cierpiącym. Leczył się u lekarzy, zwracał się do znachorek, stosował wszystko, co tylko kto poradził, nic nie pomogło i w październiku 1845 roku biedak zupełnie oślepl.

W wigilię Najświętszej Panny Gromnicznej 1847 roku, gdy Pokułowicz udał się na spoczynek i już zasypiał, usłyszał głos: „Przyjdź do mnie i oczyść mnie, a ja ciebie uzdrowię, będziesz widział”.

Następnej nocy tenże sam głos posłyszał. Wtedy ośmielił się zapytać: „Dokąd mam iść?” i otrzymał odpowiedź:

– Znasz słup za zielonym mostem na wzgórku. Chrystus Pan krzyż niesie, tam przyjdź i oczyść mnie, a będziesz widział; jeśli nie będziesz mógł oczyścić mnie u słupa, to przyjdź do kościoła św. Rafała, a jak będziesz mógł, oczyścisz.

Pokułowicz raniutko dnia następnego wziął rydel i udał się we wskazane miejsce, ale wzgórze tak było śniegiem zasypane, że ślepy ugrzązł po kolana i ledwo się wykopał. Zmartwiony powrócił do domu i postanowił oczyścić wzgórze na wiosnę, gdy śnieg stopnieje.

Tegoż dnia poszedł do pobliskiego kościółka księży Bonifratrów i tam w skupieniu modlił się do Pana Jezusa, ponawiając swe postanowienie oczyszczenia i naprawienia słupa. Zaczął rzewnie płakać, a gdy łzy płynące chusteczką ocierał, zdało mu się, że coś z oczu jakby na chustce zostało, że mrok, zaścielający mu wzrok, przejaśnia się. Jakoż zaczął odróżniać przedmioty coraz wyraźniej i po kilku minutach przejrzał, po czym obmył oczy wodą ze studzienki znajdującej się w tym kościele i uszczęśliwiony wrócił do domu.

Przez resztę zimy z pracy oszczędził kilka rubli i z nadejściem wiosny najął robotników, słup otynkował i figurę Chrystusa na nowo pomalował. Własnoręcznie oczyścił pagórek, bruk naprawił i wszystko, co mu w widzeniu uczynić kazano, uczynił i zebranemu ludowi opowiedał o swoim uzdrowieniu cudownym.

Odtąd figura Chrystusa na Śnipiszkach uznana została za słynącą łaskami.

OJCIEC MELCHIOR I DIABEŁ

Pod kościołem poddominikańskim św. Ducha w Wilnie znajdują się obszerne podziemia, które niegdyś przepełnione były trumnami. Te przed laty pięćdziesięciu przeniesiono do jednego sklepu i ustawiono je jedno na drugim, tak że sięgają sklepienia, a sklep zamurowano.

W jednym ze sklepów grobowych, pomiędzy szczątkami trumien spróchniałych, kośćmi i próchnem do niedawna można było oglądać zwłoki zakonnika dominikanina w pozycji siedzącej w fotelu żelaznym. Nieboszczyk był odziany w biały habit, którego kaptur głowę opuszczoną na piersi całkowicie okrywał.

Opowiadano, że są to zwłoki błogosławionego o. Melchiora z Warki, zakonu kaznodziej-skiego, który zmarł w Wilnie roku 1602, śpiewając: *Subvenite Sancti Dei*.

O. Melchior słynął z nauki, cnotliwości i krasomówstwa. Kazania jego gromadziły w kościele św. Ducha tłumy wiernych, słuchających z zapartym oddechem natchnionych słów niezrównanego kaznodziei.

O. Melchior całym swym gorącym sercem nienawdził szatana, wypowiedział mu walnę, ostrzegał przed jego złością i przebiegłością, z jaką stara się sprowadzić ludzi z drogi cnoty, obrazowo przedstawiał okropności piekieł i mąk tam oczekujących grzeszników.

Potęgą słowa i własnym przykładem świątobliwy kapłan niejedną duszyczkę nawrócił, wyrwał mocom piekielnym i Niebu powrócił.

O. Melchior sławny był również z wypędzania szatanów.

Diabeł wściekał się i z całego swego szatańskiego serca nienawidząc cnotliwego zakon-nika, uciekał się do rozmaitych wybiegów, by mu spokój zatruwać. Tak, nieraz, gdy wieczorem wśród ciszy klasztornej o. Melchior w swej celi ubogiej przy świetle lampki olejnej zatopiony był w czytaniu ksiąg, lub rozmyślaniach pobożnych, diabeł roztaczał przed jego oczami obrazy ponętne. Skromna cela przeistaczała się w bogatą komnatę o wygodnych meblach, dywanach, obrazach, srebrnych świecznikach. Stół ugiął się od rozmaitych potraw, owoców, ciast, win, miodów, które nęciły wzrok i wzbudzały apetyt i pragnienie. Innym razem diabeł przybierał na się postać cudnej piękności dziewczicy, która lubieżnie wyciągała białe ramiona i wabiła wzrokiem i śmiechem.

Próżne jednak były wszystkie próby kuszenia. O. Melchior pozostawał niewzruszony i tylko żarliwiej się modlił. Wtedy szatan chwycił się innych sposobów, mianowicie usiłował nastrożyć zakonnika, przyjmując na się postać już to strasydeł, już to rozmaitych bestii potwornych, gadów, żmij. Musiał jednak zmykać, zgrzytając zębami, gdy o. Melchior brał do ręki kropidło, kropił wodą święconą i zęgnął krzyżem.

Pozbywszy się diabła, świątobliwy kapłan zdejmował ze ściany dyscyplinę, obnażał się do pasa i, klęcząc przed krucyfiksem, biczował się i modlił długo w noc, aż wyczerpany, zasypiał na kamiennej posadzce.

Raz diabeł zakradł się nawet do zakrystii i gdy tam przyszedł o. Melchior i zaczął ubierać się do mszy diabeł, przybrawszy postać rudego psa, usiłował mu przeszkodzić, plątał się u nóg, targał za odzież, skomlał, warczał, aż zniecierpliwiony kapłan porwał go za kark i wrzucił do piekła, po czym spokojnie już mszę odprawił.

HISTORIA SPRAWIEDLIWIE NAWRÓCONEGO (MASE GER CEDEK) Podanie żydowskie

Był w Polsce wielki Pan Pot...ki, który miał syna mądrego. Gdy chłopiec wyrósł, ojciec posłał go dla dokończenia nauk do miasta Paryża. Tam spotkał się on i zaprzyjaźnił z młodym Zarebą, synem niezamożnego szlachcica ze Żmudzi. Zareba uczył się w Wilnie, a że był wielkim mędrcom, i prześcignął w naukach swoich rówieśników, więc dano chłopcu wiele pieniędzy i posłano go do miasta Paryża, gdzie był z wielką czcią przyjęty.⁴

Pewnego dnia dwaj towarzysze poszli oglądać osobliwości Paryża. W jednej winnicy zobaczyli namiot, a w nim siedzącego nad książką starego Żyda niemieckiego. Księga była drukowana w nieznanym im języku. Zapytany starzec wytłumaczył, że jest to język święty-hebrajski, po czym na prośbę młodzieńców opowiedział im treść kilku rozdziałów.

I słowa Zakonu weszły do ich serc, i uprosili starca aby ich uczył, a syn magnata obiecał mu hojną zapłatę. Odtąd trzy razy w tygodniu Pot...ki i Zareba chodzili do Żyda na naukę, a w pół roku nauczyli się całego Pięcioksięgu. I stali się innymi ludźmi, ucząc się starego Zakonu. Nie pilnowali czasu uczenia się w Akademii i nie szli do domu modlitwy.

Jednego dnia poszli ci dwaj przyjaciele przechadzać się po polu. I powiedział syn magnata do towarzysza: – Bracie, ja ci wszystkie skrytości serca mojego wyjawię, ale nie ogłaszaj tego. W sercu moim postanowiłem udać się do Amsterdamu, aby przyjąć wiarę żydowską, ponieważ wiara izraelska jest prawdziwą, jak wiemy.

I odpowiedział Zareba:

– Jak ty, tak i ja. I ja tak zrobię, gdy będę miał pieniądze na kosztą podróży.

I przysięgli obydwaj i zawarli umowę i powiedzieli:

– Bóg świadkiem między nami!

Syn magnata pojechał do miasta Rzymu, aby zbadać, która wiara jest prawdziwa. I papież przyjął go z wielką czcią i uczył się w Akademii papieża i co tydzień wydawał ucztę dla wszystkich panów papieskich, a sługom ich dawał wielkie podarunki. I od nich dowiedział się o obyczajach papieża, że nie taki on świątobliwy, za jakiego się wydaje, że wcale nie wstępuje do nieba, jak o tym mówią, tylko siedzi sobie w najgłębszym pokoju.

⁴ Legendę powyższą podaję w streszczeniu według J.I. Kraszewskiego (Wilno, t. III, str. 173), który wydrukował ją pod tym tytułem w dosłownym tłumaczeniu z rękopisu hebrajskiego.

Do podania dała powód historia magnata Pot...ego, który w Amsterdamie przeszedł na wiarę żydowską, i za to, gdy do kraju powrócił, był spalony w r. 1719 w Wilnie między zamkiem a Wilią. Popioły jego pochowano na mogiłkach żydowskich za Wilią. Pamięć Abrahama (takie było imię żydowskie Pot...iego) Żydzi mają w wielkim poszanowaniu i rocznicę jego spalenia obchodzą drugiego dnia święta Szewues w Synagodze (przypis autora).

I uciekł z Rzymu Pot...ki, wsiadł na okręt i przybył do Amsterdamu i przeszedł na wiarę żydowską.

Tymczasem Zaręba skończył nauki w mieście Paryżu i, nie mając o przyjacielu żadnych wiadomości, powrócił do swego kraju. Przejeżdżając przez dobra hetmana Tysz...cza, który był przyjacielem jego ojca i dał mu pieniądze na pobyt w Paryżu, wstąpił na noc do pałacu hetmana. Tysz...icz przyjął go z wielką czcią i zatrzymał przez parę miesięcy, a gdy mędrzec Zaręba chciał odjechać powiedział mu pan hetman:

– Wyjawię ci tajemnicę serca mego, że ci dam jedyną córkę moją za żonę, bo cię pokochałem.

I Zaręba pojął na dobre szczęście córkę hetmana za żonę i stał się bardzo wielkim ten młodzieniec między wszystkimi panami. I wszystkie potrzeby kraju zawisły od jego wyroku. A gdy żona powiła mu syna, przez miesiąc były wielkie uczyty i oto wśród upojenia i radości zapomniał Zaręba umowy i przysięgi, którą zawarł w Paryżu ze swoim towarzyszem.

W tym czasie przyszły listy z kraju polskiego, że zginął bez śladu syn magnata wielkiego, Pot...iego.

Gdy to posłyszał Zaręba, bardzo się zląkł, że zapomniał o przysiędze, postanowił jej dotrzymać i jechać do Amsterdamu, chociaż przykro mu było rozłączyć się z żoną i synem. Ale żona z dzieckiem pojechała z mężem naprzód do Królewca, gdzie siedzieli rok, a potem do Amsterdamu i zamieszkali tam w pięknym mieszkaniu.

Nazajutrz poszedł pan Zaręba do rabina, który w osobnej izbie obrzezał go i jego pięcioletniego syna.

Żona jego, nie doczekawszy się męża do wieczora, poszła go szukać, a on posłał naprzeciwko niej, aby go nie szukała, ponieważ on przeszedł na wiarę żydowską. Gdy to usłyszała, padła i zemdląła, a potem poszła do izby, gdzie był jej mąż, płakała, prosiła i rzekła:

– I ja przejdę na wiarę żydowską.

Kilka miesięcy uczyła się u kobiet Zakonu żydowskiego, a gdy się dobrze nauczyła, Dain, sędzia rozkazał kobietom, aby ją w wodzie zanurzyły. I stała się Izraelitką. I siedzieli w Amsterdamie długi czas, a potem pojechali do ziemi izraelskiej.

A Ger Cedek (Pot...ki) pojechał do Niemiec, stamtąd do Rosji, lecz stęskniony za krajem wrócił na Litwę i przybył do miasta Ilji. Tam w bożnicy skarcił chłopca, który zachowywał się nieprzystojnie. Rozgniewany ojciec chłopca poszedł do panów i oznajmił, że tu jest Ger Cedek. Posłali sługi i okutego w kajdany żelazne odprawili do stolicy Wilna. I poznali wielcy panowie, że on jest synem magnata Pot...iego, i ściskali go i pytali: Skąd ci takie głupstwo? A gdy on nie odpowiedział im nic, gniewali się i rzekli mu:

– Czemu nie odpowiadasz? Wszak tu idzie o twoje życie.

– Głupcy jesteście. Nie odpowiadam wam, bo mnie nie nazwaliście moim imieniem. Jestem Izraelita, imię moje Abraham, a wy mnie zowiecie Pot...kim, a to jest imię goimskie.

I wsadzili go do więzienia. Tam przyszedł biskup, mając w ręku krzyż złoty i rzekł mu:

□ Oddaj mi należną cześć□ .

On na to odpowiedział:

– Oddałbym cześć i czapkę bym zdjął przed wami, bo wyście wielki pan, a ja Hebrajczyk, człowiek mizerny i pohańbiony, ale ponieważ trzymacie krzyż, to przed wami czapki nie zdejmę.

Ger Cedek siedział w więzieniu cały rok, aż z wielkiego utrapienia zaczęły z niego wychodzić robaki. A on zwrócił robactwo wewnątrz, mówiąc:

– Zniszczcie swoje ciało, ponieważ ciało moje jest z mięsa trefnego.

A drugiego dnia święta Szewues wyszedł wyrok, aby go spalić. Przed spaleniem prosili go bardzo, aby powrócił do ich wiary, a on hańbił ich wielkim łajaniem i rozkazali katowi, aby mu wyrznął język i wyciągnął go przez kark.

A na Żydów był wielki strach i ciemność wielka w tym dniu i nikt nie wyszedł za drzwi domu swego. Tylko jeden wyszedł rabin Lezer Gisikes, który nie miał brody i przyszedł na miejsce spalenia, przekupił chłopca kata i dostał od niego popiołu ze spalonego ciała pobożnego i czystego, a od kilku goimów krwi świętego.

Gdy jedna goimka śmiała się i rozwarła swą gębę, gdy kat urznął jego język i skrzywił usta jego święte, goimka ta oniemiała i usta jej skrzywiły się na zawsze.

Kilku safianików dało drwa, aby spalić sprawiedliwego. Też godziny spaliły się ich domy do gruntu. Tak niech zginą wszyscy Twój nieprzyjaciele dla krwi Twojego sługi, która była przelana.

Nazajutrz przyszło pismo na pocztę, aby go nie zabijać, ale już było po wszystkim.

RABAN ELIASZ

Podania żydowskie

Wielka waśń była w Wilnie pomiędzy Hassidimi a Eulemsze. Doszło do tego, że przy spotkaniu wrogowie odwracali głowy, aby się nie widzieć, i przechodzili na drugą stronę ulicy, by nie otrzeć się o siebie. Kobiety z jednej studni wody, ani z jednych jatek mięsa nie brały.

Przyczyną waśni był wybór rabina, co do osoby którego nie mogli się pogodzić. Eulemsze chcieli, aby rabinem był sprawiedliwy, wielki Raban Eliaz, pamięć jego niech będzie błogosławiona, któremu równy we wszystkich siedmiu umiejętnościach nie powstał, a Hassidimi nie zgadzali się na niego, tylko krzyczeli, co by rabinem był inny Hassidim.

I wszczął się wielki tumult. Przy bożnicy zeszyły się tłumy Hassidimów i Eulemsze i przeciwnicy zaczęli sobie nieprzystojne słowa mówić, wygrażać i krzyczeć, że zrobił się wielki hałas, a sprawiedliwy Raban Eliaz wydał na Hassidimów wielką klątwę – cheirem. Potem wszczęła się bójka, kto miał kij w ręku, ten bił kijem, a kto kija nie miał, ten uderzał pięścią i targał przeciwnika za brodę i pejsy. Połała się krew, a hałas był tak wielki, że słyhać było nie tylko na zamku, ale i w całym mieście Wilnie.

I wzięto Rabana Eliasza, i zaprowadzono go do więzienia zamkowego, i wsadzono do lochu, a przy więzieniu postawiono straż silną, aby nikt nie przychodził i ze sprawiedliwym nie gadał.

I był Raban Eliaz bardzo głodny, a to dlatego, że straż nie pozwalała przynosić dla niego z miasta jedzenia koszerne, a trefnego, które mu goimi dawali, sprawiedliwy spożywać nie chciał.

Ale oto, zaczął przychodzić codziennie do więzienia młodzieniec o pięknym obliczu, odziany w białe szaty i przynosił dla Eliasza pożywienie. Był to Anioł, a gdy przychodził, straż go nie widziała, a drzwi więzienia same się otwierały, a straż i tego nie widziała.

Raban Eliaz jadł i już głodny nie był. Młodzieniec mówił mu piękne słowa i Raban już nie był smutny, śpiewał psalmy Dawidowe i chwalił Pana.

Sprawiedliwy Raban Eliaz, niech pamięć jego będzie błogosławiona, był z wielkiej rodziny kapłańskiej, której członkowie najpierwsi w szkole słuchają czytania przykazań, na cmentarz nigdy nie chodzą, ani się umarłego nie dotykają. Dotykają tylko ciała umarłego ojca, matki i rodzeństwa bliskiego.

Nie chodził na kirkut i Raban Eliaz i nie dotykał umarłych. Tak było zawsze. Ale gdy umarł w Wilnie ubogi krawiec Lejzor i wieźli jego ciało na cmentarz, poszedł za nim Raban Eliaz. Zbliżyli się do niego ludzie i pytali:

– Co to jest rabin? Nigdy za umarłymi nie chodziłeś, a za krawcem Lejzorem idziesz?

– Wy nie widzicie tego, co mi jest dane widzieć. Ten człowiek śpiewał zawsze w domu i w szkole psalmy Dawidowe. Teraz król Dawid za nim idzie, tylko nikt go widzieć nie może, a ja widzę króla Dawida i dlatego takież idę.

BLU•NIERCA UKARANY

Jezuici, wezwani do Wilna przy końcu XVI stulecia dla zwalczania gwałtownie szerzącej się reformy, posiadli kościół św. Jana i starali się pociągać lud, działając na jego wyobraźnię. W tym celu urządzali wspaniałe nabożeństwa, procesje, widowiska i dysputy publiczne.

Na zewnętrznej ścianie kościoła św. Jana, w miejscu, gdzie dziś znajduje się pomnik Chreptowiczów, jezuici ustawili w niszy figurę Matki Boskiej Loretańskiej, przed którą odprawiali uroczyste nabożeństwa.

W roku 1668 wieczorem niszę, w której stała figura Najświętszej Panny, rzęsiście iluminowano lampkami kolorowymi i przybrano kwiatami. Ulicę Zamkową zapełnił lud i klęcząc śpiewał razem z księżmi litanię do Matki Boskiej.

Nabożeństwo nie było jeszcze skończone, gdy środkiem klęczącego i rozmodlonego ludu zaczął się przeciskać szlachcic dysydent, ale szło mu to z wielką trudnością, ponieważ ścisk był wielki i ludzie klęczeli ramię przy ramieniu.

Rozgniewany szlachcic stanął naprzeciwko figury Matki Boskiej, wsparł się w boki i, nie zdejmując czapki, zawołał na cały głos:

– Patrzcie na nich! Jak papiści czczą swego bałwana! Boże dobry, jak możesz ścierpieć to ich bałwochwalstwo? Nigdy w Wilnie takich rzeczy nie widziano i nie słyszano, a teraz bezwstydnie jakiejś lalce się kłaniają.

Lud, oburzony takim naigrawaniem się ze świętości, omal nie rozszarpał bluźniercy, którego mocno poturbowanego ledwo uratowali księża.

Czekała go jednak inna kara.

Zbliżając się do swej kamienicy, szlachcic posłyszał krzyki rozpaczliwe i lament. Przeczując, iż stało się jakieś nieszczęście, wpadł do mieszkania i tu ujrzał zwłoki swego sześćioletniego ukochanego syna jedynaka, który w chwili, gdy ojciec bluźnił Najświętszej Panie, wypadł oknem i o kamienie głowę rozbił.

Nad ranem przycwałował konno ekonom z folwarku, należącego do szlachcica i oznajmił, że w nocy wilk wkradł się do owczarni i wszystkie owce wydusił.

Ale nie skończyły się na tym nieszczęścia, bo oto tegoż dnia zachorowała szesnastoletnia córka szlachcica na jakąś dziwną chorobę, której medycy określić nie umieli i po kilku godzinach skoła na rękach zrozpaczonych rodziców. Nie zniósł tych ciosów bluźnierca i serce mu pękło.

KOŚCIÓŁ ŚW. JÓZEFA I ŚW. NIKODEMA

Za Ostrą Bramą z lewej strony w dziedzińcu domu narożnego (Misjonarskiego) znajduje się murowany, piętrowy budynek mieszkalny. Część tej oficyny zachowała architekturę kościelną, mianowicie część wystawy frontowej i absydę.

Był to niegdyś kościół śś. Józefa i Nikodema, fundowany w roku 1625.

W końcu XVIII wieku pożar tak znacznie zniszczył kościół, iż musiano go zamknąć, a sprzęty wynieść. Niedługo potem przerobiono kościół na dom mieszkalny.

U ludu wileńskiego utworzyło się podanie, że niekiedy o północy dają się słyszeć dzwony, dźwięki organów i śpiew, oraz widać światło. To zmarli proboszczowie wstają z grobów i odprawiają nabożeństwo w ruinach kościoła.

ZAGADKOWY CUDZOZIEMIEC

Latem roku 1845 ludność wileńska była ogromnie poruszona i zaintrygowana następującym zdarzeniem zagadkowym. Pewnego wczesnego poranka, nabożni, udający się na mszę do kościoła św. Jana, zobaczyli siedzącego przy drzwiach kościelnych obłąkanego zakrystiana tego kościoła, chociaż w przeddzień wieczorem był on zupełnie zdrow. Nieszczęśliwy, oglądając się i uśmiechając bezmyślnie, bawił się starymi monetami złotymi, których kilkanaście walało się po ziemi.

Nikt nie mógł zgadnąć, co spowodowało nagłe obłąkanie i skąd się wzięły złote pieniądze, ale dla wszystkich było jasne, że istnieje jakiś tajemniczy związek pomiędzy tymi ostatnimi a chorobą zakrystiana. Pojawiło się przypuszczenie, że musiał on znaleźć skarb w jednej z kryjówek, których sporo miały podziemia kościoła; i że został czymś nastraszone.

Dano znać policji, która rozpoczęła dochodzenie. Monety złote, przeważnie polskie, pochodziły z XVI i XVII wieku, chociaż było pomiędzy nimi kilka monet obcych państw. Obejrzano starannie kościół i podziemia, ale nie znaleziono nic takiego, co by pomóc mogło w rozwiązaniu zagadki. Jedno nie ulegało wątpliwości, mianowicie, że w nocy zakrystian stoczył z kimś walkę, o czym świadczyły liczne sińce i draśnięcia na twarzy i na rękach, a także odzież pomięta i miejscami porwana.

Od obłąkanego nie można było niczego się dopytać, ponieważ nie odpowiadał na pytania, zdając się ich nie słyszeć, coś niezrozumiale mrucał, trwożliwie się oglądał i chwilami zrywał się i, jak wściekły, rzucał się na ludzi. Musiano go skłębować, po czym odwieziono do szpitala dla obłąkanych oo. bonifratrów.

Żona zakrystiana z płaczem opowiedziała, że wieczorem dnia wczorajszego przyszedł do nich jakiś nieznajomy, prawdopodobnie cudzoziemiec, ponieważ z trudnością można było zrozumieć, co mówił. Wyprowadził on męża do przyległego pokoju i tam o czymś po cichu się naradzali.

O godzinie 11 przed północą zakrystian wyszedł z mieszkania i już nie wrócił.

W owym czasie Wilno nie było tak rozległym i tak zaludnionym, jak dziś, miastem i liczyło niespełna 40 tysięcy mieszkańców. Całe życie skupiało się na rynku około ratusza, gdzie, zwłaszcza w rannych godzinach, zbierały się tłumy ludzi, należących do wszystkich warstw społeczeństwa. Tam dzielono się nowinami, powtarzano sobie plotki.

W dniu, w którym znaleziono nieszczęśliwego zakrystiana, rynek był szczególnie ożywiony, a tłum podniecony. Wszechstronnie omawiano zagadkowe zdarzenie i każdy miał coś do powiedzenia i do podzielenia się z innymi swymi domysłami.

Ale niebawem ogólną uwagę zwrócił na się służący z hotelu „Italia”, znajdującego się naprzeciwko ratusza. Ten opowiedział, że wczoraj rano zajął pokój w hotelu pewien cudzoziemiec, jak się zdaje, Włoch. Spędził on dzień cały w mieście i wróciwszy do hotelu wieczoro-

rem, zamknął się w swoim pokoju. Nie wiadomo co tam robił, ale słychać było szelest papierów. Późno wieczorem gość zawołał służącego, uregulował rachunek, obdarzył służbę i wyszedł na miasto, wziąwszy ze sobą niewielką walizkę ręczną. Według opisu był to niewątpliwie ten sam człowiek, który przychodził do zakrystiana i uprowadził go ze sobą. Wiele osób spotykało nieznanego w mieście; jedni widzieli go w jadłodajni Jodki, gdzie jadł makarony, ktoś zetknął się z nim w sklepie, gdy kupował kosztowne cygara; widziano go również w kościele św. Jana, który cudzoziemiec zdawał się szczegółowo oglądać i jakby mierzył krokami. Słowem, każdy krok cudzoziemca był już wiadomy, tylko pozostało nie wyjaśnionym, co się z nim stało.

Nie wątpiono ani na chwilę, że cudzoziemiec wiedział o skrytce kościelnej, zawierającej skarb, że przekupił zakrystiana, przy pomocy którego zawładnął złotem i że chciał go zamordować, jako niepożądanego świadka.

Policja zbadała świadków, dokonała oględzin kościoła i jego podziemi, oraz pokoju, zajmowanego przez cudzoziemca w hotelu „Italia”, ale znalazła tam tylko zmiętą starą gazetę włoską i w piecu trochę popiołu po spalonych papierach.

Tegoż dnia przywieziono do policji jakiegoś nieznanego człowieka, pijanego do nieprzytomności, którego znaleziono rano za rogatką na Pohulance. Wezwany lekarz ocucił pijanego i ten zeznał, że jest dorożkarzem i że wczoraj umówił się z jakimś Niemcem, iż go do Trok odwiezie. Stosownie do umowy, około godziny pierwszej w nocy czekał na początku ulicy Dominikańskiej na nieznanego, który wreszcie nadszedł ulicą Świętojańską od strony kościoła św. Jana. Niósł on walizkę ręczną tak ciężką, iż z trudnością ją dźwigał. Wspólnymi siłami i z niemałym wysiłkiem ulokowali walizkę w dorożce.

Nie dojeżdżając rogatki na Pohulance pasażer kazał stanąć przed jakąś garkuchnią, gdzie sam przekąsił i obficie uczęstował dorożkarza, któremu na odjeźdnym dał do wypicia szklanekę wódki. Gdy minęli rogatkę, woźnica poczuł się niedobrze, stracił przytomność i już więcej nic nie pamiętał. W kieszeni jego znaleziono kilkanaście monet złotych, ale koń i bryczka zniknęły.

Uruchomiono całą policję, rozesłano na wszystkie strony gońców, ale zagadkowy cudzoziemiec jak w wodę wpadł i wszelkie poszukiwania pozostały bezowocnymi.

Minęło kilka tygodni i powoli zaczęto zapominać o zdarzeniu, gdy do policji dano znać, że beznadziejnie chory zakrystian ma się gorzej i prawdopodobnie wkrótce umrze, ale odzyskał przytomność i mówi do rzeczy. Niezwłocznie został wydelegowany do szpitala agent policyjny i oto, co mu umierający powiedział:

Gdy zakrystian wszedł bocznym wejściem do kościoła w towarzystwie cudzoziemca, ten ostatni zawiązał mu szczelnie oczy opaską, którą wyjął z kieszeni, obrócił go kilka razy na miejscu, po czym długo wodził po kościele, zawracając w różne strony, wreszcie stanął i zaczął coś robić. Słychać było lekkie skrzypienie, potem przytłumiony stuk. Wtedy nieznanomy ujął towarzysza za rękę i obaj zaczęli zstępować w dół. Czuć było chłód i wilgoć. Dość długo szli jakimś podziemnym przejściem, zmieniając kierunek, aż cudzoziemiec zawołał „basta”, zatrzymał się i zdjął opaskę z oczu zakrystiana.

Znajdowali się w podziemnym korytarzu przed żelaznymi drzwiami. Latarka nieznanomego rzucała słabe światło, przy którym można było dostrzec zamykającą drzwi żelazną sztabę z wiszącą przy niej sporą kłódką, którą gdy wspólnymi siłami rozpiłowali i z niemałym trudem otworzyli drzwi, znaleźli się w niewielkiej, sklepionej i ciemnej izbie. Przy jednej ścia-

nie stała duża skrzynia żelazna, którą cudzoziemiec otworzył kluczem i podniósł wieko. Skrzynia była po brzegi wypełniona złotymi monetami, klejnotami, pierścieniami i medalionami.

Na widok tych skarbów szal ogarnął zakrystiana. Z nożem, w który się zaopatrzył na wszelki wypadek, rzucił się na towarzysza, ten jednak silnym uderzeniem pięści w twarz zwałił go z nóg i po krótkiej walce obezwładniwszy, związał.

Zapewniwszy sobie w ten sposób bezpieczeństwo, cudzoziemiec napełnił przyniesioną walizkę i kieszenie złotem i klejnotami, włożył kilkanaście monet do kieszeni zakrystiana, po czym znowu zawiązał mu oczy, wyprowadził do kościoła, zachowując te same, co przedtem ostrożności i obróciwszy go kilka razy na miejscu zdjął opaskę z oczu i dał do powąchania jakiś mocny płyn. Wraz potem zakrystian stracił przytomność i już nic nie wie i nie pamięta z tego, co się działo potem.

I znowu wyznaczona komisja zbadała kościół, ale i tym razem nic nie wykryła.

Upływał rok za rokiem, nadeszły czasy powstaniowe, gdy kraj cały był w ogniu, gdy nie było rodziny w Wilnie, która by nie opłakiwała swych członków, poległych w polu, straconych na placu Łukiskim, albo wywiezionych na Sybir. Nie dziw, że zagadkowa sprawa cudzoziemca i zakrystiana została zapomniana. Tylko niekiedy starzy ludzie opowiadali o niej dzieciom, jako o bajce.

Badacze Wilna wiedzą, że pod kościołem św. Jana istnieje istny labirynt sklepów i korytarzy, które pod ziemią idą w rozmaitych kierunkach i nawet przechodzą pod kamienice, położone po przeciwległej stronie ulic Świętojańskiej i Zamkowej.

W roku 1886 na dziedzińcu uniwersyteckim (wówczas pierwszego gimnazjum) około facyjaty kościoła, pomiędzy nią a bramą, zapadła się ziemia i otworzyło się wejście do podziemia.

Niebawem kilku uczniów urządziło „wycieczkę naukową”. Zaopatrzywszy się w świeczki kojowe, tak zwane „szabasówki”, na sznurach spuścili się do lochu, ale niestety bawili tam bardzo krótko, ponieważ niezwłocznie zostali przez pedlów i woźnych wydobyli na powierzchnię ziemi i za ciekawość ukarani kożą. Otwór tegoż dnia zamurowano.

Uczestnicy wycieczki opowiadali, iż znaleźli się w korytarzu sklepionym, którego wysokość i szerokość wynosiła około 2 metrów. Korytarz szedł wzdłuż kapitałnej ściany kościoła, zaś w końcu jego były drzwi żelazne o 2 czy 3 sztabach z wiszącymi przy nich wielkimi kłódkami. Zarówno drzwi, jak sztaby i kłódki były pokryte rdzą i pleśnią, świadcząca, że od dziesiątków, a może setek lat drzwi nie były otwierane. Nikt, nawet woźny Wiktor nic o tym lochu nie wiedział, chociaż służył w gimnazjum prawie od początku jego istnienia.

Co to za korytarz podziemny, dokąd prowadzi i co się znajduje za drzwiami tajemniczymi, wszystko to pozostaje zagadką, którą może kiedyś rozwiąże zbadanie podziemi świętojańskich przez specjalistów.

DUCH W PODZIEMIACH KOŚCIOŁA O.O. DOMINIKANÓW

Jak tylko w roku 1863 przybył do Wilna Murawiov-Wieszatiel, niebawem więzienia wileńskie wypełniły się aresztowanymi patriotami, a gdy zabrakło w nich miejsca, obrócono na więzienia klasztory dominikanów, franciszkanów, bernardynów i inne. Najgorszym pod każdym względem było więzienie w klasztorze dominikanów, w którym mieściła się również komisja śledcza.

Pod kościołem św. Ducha i klasztorem są obszerne podziemia, tworzące istny labirynt. Nie wiadomo dla jakiej przyczyny Murawiov rozkazał, ażeby te sklepy grobowe były pilnie strzeżone, toteż przy wejściu do nich w dzień i w nocy stał na warcie żołnierz, zmieniając się co cztery godziny.

Pewnego ranka gruchnęła po mieście wieść, że w podziemiach dominikańskich pojawił się duch. Wiadomość o widmie podawano z ust do ust z dodatkami i upiększeniami.

W rzeczywistości rzecz się tak miała:

Młody żołnierz, stojąc w nocy na warcie u wejścia do podziemia, chciał zapalić papierosa, co mu się nie udawało z powodu wiatru. Wtedy wszedł w głąb korytarza i nagle w ciemności ujrzał o kilkanaście kroków przed sobą białą, powiewną postać ludzką, która poruszała się i zdawała się zbliżać ku niemu.

Przerażony w najwyższym stopniu żołnierz porzucił karabin, pędem wybiegł z podziemia i stanąwszy przed oficerem dyżurnym, blady i trzęsący się ze strachu, opowiedział, że widział upióra. Był on przezroczysty, o strasznej twarzy. Widmo, wyszedłszy z trumny, posuwało się ku niemu i wyciągnęło ręce, chcąc go pochwycić. Żołnierz dodał, iż raczej gotów jest poddać się najsroźszej karze, niż pójść na wartę do lochów. Inni żołnierze również odmówili posłuszeństwa. Wtedy wartę zdjęto, zaś wejście do podziemia na głucho zamknięto.

W roku 1908 miałem sposobność oglądania widma, które przed 45 laty tak nastraszyło żołdaka moskiewskiego. Gdy, badając podziemia pod kościołem św. Ducha, zagłębiłem się w korytarz boczny, przeciąg zgasił mi świecę i znalazłem się w ciemności, do której gdy się oczy przyzwyczaiły, ujrzałem przed sobą w pewnej odległości białawą, świecącą własnym światłem, postać ludzką. Wysmukła, sprawiała wrażenie przezroczystej, z lekka się chwiała i jakby drżała. Rysów twarzy, również jak kończyn, rozróżnić nie mogłem, widmo bowiem zdawało się być okryte białym całunem.

Bliższe badanie wykazało, że w murze korytarza jest wąska szpara pionowa, przez którą z zewnątrz przenika światło dzienne lub od latarni, znajdującej się na ulicy i, padając na przeciwną ścianę, daje niejaki podobieństwo białawej i powiewnej postaci ludzkiej.

Nie dziw, że żołnierz, wartujący w nocy w podziemiu, pełnym trumien, czaszek i kości ludzkich, czuł się nieswojsko i z łatwością przyjął za ducha odbicie światła na ścianie, a przestach i wyobrażenia kazały mu zobaczyć okropną twarz, wyciągnięte ku niemu ręce i zbliżanie się widma.

PODANIE Z ROKU 1923

Pierwsza połowa zimy 1922–23 roku w Wilnie była niezwykle ciepła. Jeśli niekiedy spadł śnieg, to wnet tajał. Drogi, wiodące do miasta rozmiękły, na ulicach stały kałuże jak w marcu, a rynsztokami płynęła mętna woda, unosząc rozmaitego rodzaju nieczystości z ulic i dziedzińców. Wilia nie zamarzała, a na drzewach pokazały się pączki.

W taki to ciepły poranek styczniowy jechał do Wilna włościanin z pobliskiej wsi i wioził ze sobą małe prosię.

Przejeżdżając wzgórze Szeszkinie ujrzał stojącego przy drodze niemłodego człowieka, który był zupełnie nagi. Na bladej twarzy i w zamglonych oczach malowały się boleść i cierpienie. Było w nim coś, co mimo woli wzbudzało litość, współczucie i chęć przyjścia z pomocą.

Włościanin zatrzymał konia i zapytał nieznajomego, co mu jest i dlaczego nie ma na sobie żadnej odzieży. Nie odpowiadając na zapytanie nagi człowiek rzekł:

– Kup dla mnie w mieście, jaki przyodziewek, a Bóg wynagrodzi dobry uczynek.

– Chętnie bym spełnił twoją prośbę, ale nie mam ze sobą potrzebnych na kupno odzieży pieniędzy.

– Sprzedaj prosię, a będziesz miał pieniądze.

Włościanin parsknął śmiechem.

– Tego, co mi dadzą za to maleństwo, ledwo wystarczy na parę kieliszków wódki.

– Zrób tak, jak mówię. Będę cię oczekiwał na tym miejscu.

Gospodarz odjechał, wruszywszy ramionami i pomyślał, że nagi człowiek jest niespełna rozumu, lecz jakież było jego zdumienie, gdy w miarę posuwania: się naprzód prosię zaczęło rosnać z nadzwyczajną szybkością. Gdy dojechali do rynku, na wozie zamiast małego prosięcia leżał ogromny, tłusty wieprz.

Niebawem obstarpi wóz kupcy i po krótkim targu zapłacili wyjątkowo dobrą cenę. Uradowany gospodarz kupił na Bosakach koszulę, spodnie oraz kapotę, dziwując się, że bardzo mało zapłacił i pośpieszył z powrotem.

Na dawnym miejscu przy drodze pod górą Szeszkinie już go oczekiwał nagi człowiek.

Ten, gdy się ubrał, podziękował litościwemu włościaninowi i rzekł:

– Pytałeś mnie, kim jestem i dlaczego chodzę nago. Otóż, wiedz, że jestem ofiarą bolszewików, którzy owładnąwszy Wilnem w roku 1920, obdarli mnie z odzieży i nagiego żywcem do ziemi zakopali, a że umarłem bez spowiedzi, wtedy dopiero miałem być zbawionym, gdy jaki litościwy człowiek moją nagość przykryje. Tyś się ulitował nade mną i Bóg nie pozostawił ciebie bez nagrody. Na pożegnanie powiem ci coś jeszcze, że teraz zima wodą płynie, a wiosna popłynie krwią!

POSŁOWIE

Po licznych książkach wspomnieniowych, poważnych monografiach, przewodnikach czy albumach sławiących urodę i historię Wilna przyszła pora na książkę szczególną. Bowiem *Podania i legendy wileńskie* Władysława Zahorskiego to jedna z tych książek, na których wychowało się całe pokolenie urodzone przed ostatnią wojną w mieście nad Wilią. Dla tych ludzi, żyjących dziś w wielu miastach Polski i świata wznowienie *Podañ i legend...* będzie miało zapewne urok szczególny, bo też jest to równocześnie pierwsza „baśniowa” monografia miasta, a prawie każda z czterdziestu czterech opowiedzianych tu historii jest ściśle związana z konkretnym historycznym fragmentem Wilna. Ale to nie jedyna zaleta tego dziełka.

Władysław Zahorski, znany i zasłużony popularyzator historii Wilna, autor licznych przewodników i monografii, również i tym razem oparł się przede wszystkim na starannych poszukiwaniach archiwalnych i kronikarskich, przedkładając wartość przekazu tradycyjnego nad jego – ewentualną – wersję literacką, bardziej może bajkową, lecz niewiele mającą wspólnego z tym, co prawdziwy lud wileński przekazywał sobie z pokolenia na pokolenie.

Dzięki tej staranności autora powstała książka, która nie tylko wiernie pokazuje rozwój miasta, rejestruje dramatyczne epizody z jego historii, ale również oddaje niepowtarzalną i jakże charakterystyczną wielokulturowość Wilna, z jego pogańskimi, lettońskimi początkami, litewską wielkością, świetnością Królestwa Obojga Narodów. Z Ostrą Bramą, tradycjami wielkiego ośrodka kultu katolickiego, ale i stałą obecnością judaizmu i otwartością na wpływy ościennych nacji i religii.

Zapewne Zahorski, jako prekursor, nie był w stanie ogarnąć całego, ogromnego piśmiennictwa poświęconego historii Wilna. Oparł się jednak na autorach najważniejszych, sięgając śmiało zarówno do opracowań stricte literackich, fundamentalnych dzieł historycznych, zapisów folklorystycznych, wreszcie kronik klasztornych czy kapitulnych.

Szczególnie wiele zawdzięcza autor dziełom jezuitę, ks. Naramowskiego, Teodora Narbutta, Lucjana Siemieńskiego, wreszcie Józefa Ignacego Kraszewskiego (jako autora pracy *Wilno od początków jego do roku 1750*, t. I–IV). Szczególne jednak znaczenie miały tu dwa dzieła fundamentalne (z których czerpali również późniejsi autorzy): *Która przedtem nigdy światła nie widziała*, *Kronika polska, litewska, żmudzka i wszystkiej Rusi* (1582) Macieja Strykowskiego i *Historia Lithuaniae* (1650 i 1669) Wojciecha Wijuka Kojakowicza.

Piszemy o tym tak obszernie, by czytelnik, szczególnie zainteresowany Podaniami i legendami wileńskimi mógł sięgnąć do ich źródeł. Warto tu zresztą dodać, iż stosunkowo niedawno, bo w roku 1978 Państwowy Instytut Wydawniczy wydał po raz pierwszy z rękopisu pracę Strykowskiego, pod niezwykle długim tytułem, który tu podamy w skrócie: *O początkach, wywodach, dzielnościach, sprawa.ch rycerskich i domowych sławnego narodu litewskiego, żemojdzkiego i ruskiego (...)*.

Tekst ten przetrwał w rękopisie około cztery stulecia... Jak więc widzimy wiele jeszcze zapewne „cudowności” wileńskich czeka na swego odkrywcę.

Podobnie czekały na swego ponownego odkrywcę *Podania i legendy...* Zahorskiego. Tę niezwykle popularną niegdyś książkę wznawiamy dziś opierając się na edycji z roku 1925, wydanej nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Niniejsze wydanie zachowuje pełną integralność tekstu Władysława Zahorskiego; pominięto jedynie przedmowę i większość niejasnych już dziś przypisów autora. Uwspółcześniono również pisownię imion własnych, ortografię i interpunkcję, przystosowując je – zgodnie z przyjętym zwyczajem – do norm współczesnych.

Sądzymy, iż te zabiegi uprzystępniają dzisiejszemu czytelnikowi *Podania i legendy...* rozszerzając już i tak potencjalnie szeroki krąg odbiorców książki Zahorskiego. Jest to bowiem dziełko adresowane po równi do miłośników Wilna i jego historii, do pokolenia, które się na tej książce wychowywało, jak i – do współczesnego młodego czytelnika, który nieznane sobie Miasto zobaczyć może oczyma dziecka sprzed sześćdziesięciu pięciu lat.

Pomogą w tym również litografie, którymi ozdabiamy niniejsze wydanie. Pochodzą one z teki *Wilno w autolitografiach barwnych* Ignacego Pinkasa, odbitych w stu egzemplarzach w roku 1929.

I jeszcze jedna, drobna radość wydawcy, z której niech będzie nam wolno na koniec się zwierzyć: *Podania i legendy wileńskie* wznawiamy dokładnie w 340 lat po wydaniu pierwszej części dzieła Wijuka Kojalowicza, która również ukazała się w... Gdańsku.

Niech i ten fakt obok wielu, wielu innych pozwoli nam serdecznie obrócić wzrok na wschód – w stronę Wilna.